



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIEC.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 2.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartał. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartał. 5 marek

Wolfgang Amadeusz Mozart.

Cześć oddawana wielkim ludziom jest czią tych ideałów dobra i piękna, których oni są przedstawicielami wśród ludzkości, i dlatego-to wznosi się im pomniki, dlatego-to święci się wdzięcznie ich pamięć. Terazniejszość biorąca spadek ich dzieł, ich czynów wielkich, lub nagromadzonych skarbów wiedzy, czy pięknotwórstwa, obowiązana jest do tej wdzięczności, i gdzie tego niema—gdzie nie czi się proroków swoich, tam przestaje się zarazem czi i to, co ich geniusz, ich natchnienie przyniosło światu. Takim wyrazem wdzięcznego uznania za piękno otrzymane w dziedzinie tonów jest jubileuszowe święto czi genialnego muzyka, Mozarta, które cały świat muzyczny obchodził d. 5 bieżącego miesiąca—stoletnią rocznicę złożenia do grobu szczątków jego śmiertelnych, które, niestety! przyjął w swoim czasie na cmentarzu wiedeńskim taki dół wspólny, gdzie grzebią się zwłoki nędzarzy, niezostawiających po sobie nawet, aby prochy ich miały w łonie matki ziemi własne miejsce ostatniego spoczynku. Wywiózł je tam karawan ubogich; żona, złamana chorobą, dzwigną się z łóżka nie mogła, była przytem niepogoda; nikt więc nie szedł za trumną, nie towarzyszył zwłokom do tego łóża pośmiertnego, gdzie grabarz miejscowy złożył je z dziadem kościelnym na spanie wiekiuste, i dziś nikt już nie wie, gdzie to jest, bo stało się tak smutnem zrządzeniem losu, że gdy żona w kilka tygodni po smutnym tym pogrzebie podnieść się nie mogła z łóżka, już da-

wnego grabarza nie zastała. Stary był i umarł także.

Wierne odbicie oblicza Mozarta z lat jego młodzieńczych przechował rysunek Dory Stock, siostry Teodora Körnera, wykonany z profilu w 1789 r. podczas pobytu Mozarta w Dreźnie, gdzie związany życzliwymi stosunkami przyjaźni z Körnerem, w domu jego rodziców bywał. Czoło jest wysokie, rysy twarzy wyraziste, włosy jasne, bardzo bujne, a przytem jakaś powaga myśląca, coś smętnie marzącego w spojrzeniu, szukającym jak gdyby duszy świata wśród barw i konturów rzeczy ziemskich. Objawiła mu się w dźwiękach dusza owa i on-to stał się tym „Fletem Zaczarowanym“ na którym grały uczucia i wrażenia odbierane w sposób niemal cudowny, bo tak wcześniej, że inaczej zrozumieć trudno naturę jego talentu tak tkliwego, tak głębokiego a przebudzonego w nim w tej pierwszej chwili życia, w której dziecko zdaje się nie mieć jeszcze nawet przeczucia tego, co potem uderzy człowieka w sercu, co zagra mu tam miłością, porwie się nadzieją w strony jego pragnień i tęsknot. Trzyletnie chłopię już sięgało do fortepianu rączkami maluczkimi, kładło na klawiszach paluszki drobne, aby odtworzyć dźwięki zasłyszane, a dodać trzeba, że przyszły mistrz pochodził z rodziny muzycznej i ucho jego karmione było niemal od pierwszego momentu życia słodko głąskającymi je dźwiękami dobrej, wyborowej muzyki. Ojciec jego, Leopold Mozart, był pierwszym skrzypkiem w kapeli katedralnej arcybiskupa Salzburga, gdzie urodził mu się w 1756 r. syn, mający się stać kiedyś mistrzem genialnym, młodszy przeszło o lat dziesięć od siostry, Maryi Anny, również wysoce muzycznej i sławnej do pewnego stopnia jako wyborna pianistka. Ale brat jej zaczynał budzić podziw; w czwartym roku powtarzał z pamięci całe ustępy sztuk przez nią grywanych, a w szóstym poważni mistrzowie mówili o nim jako o dziecku

cudownem, które przecież było obok tego wesołym, żywym i tylko niezmiernie uczuciowem, niezmiernie tkliwym. — To więcej, niż wielki talent w przyszłości, to geniusz... wróżono.

W piątym roku życia zaczął też komponować, i to z pewnym systematem, z pewną logiką estetyczną, i gdy miał lat sześć, ojciec puścił się z nim w podróż artystyczną, do Monachium, do Wiednia, gdzie wobec Maryi Teresy i cesarza Franciszka grał na fortepianie, na skrzypcach, na organach, a z rokiem każdym cudowny jego talent rozwijał się i potężniał. W 1771 r. napisał, bawiąc w Medyolanie, pierwszą operę: „Mitridate di Ponto“; wkrótce potem obraz dramatyczny: „Ascenio in Alba“ i natchnienie jego płynęło już odtąd niezmiernie czystym i szerokim strumieniem, dziwiąc i zachwycając ludzi, a on sam prawdziwie żył muzyką tylko i jak te ptaki rajskie, które posiadają jedynie skrzydła, nie więcej nie czuł, niczego więcej nie pragnął nad przebywanie w krainie zaklętych przez siebie tonów. Serce jego uderzyło raz pierwszy uczuciem nieznanego mu dotąd wzruszenia, gdy dwudziestodwuletni, a już niepospolitą sławą opromieniony, spotkał w Monachium piękną kapłankę tejsamej muzy, którą on cził, śpiewaczkę niepospolitego talentu i urody, Aloizę Weber. Pokochała i ona, przecież u niej był to raczej ten czar, jakim ludzie wielkich talentów działają na młode i gorące wyobraźnie, bo gdy w rok potem spotkali się znowu po jego powrocie z Paryża, przyjęty został chłodniej, a raczej był to dla artystki artysta tylko, gdy on pragnął podziału uczuć głębszych, gorętszych. Dać mu tego nie mogła, a on, rozżalony, zawiedziony w nadziejach swoich, odczuł to jak cios, jak ranę w serce, co rozbudziło tkliwe współczucie młodego, dobrego dziewczątka, niespełna jeszcze piętnastoletniej Konstancji Weber, wyrzucającej siostrze starszej jej zmienność, jej brak serca. Uważana w rodzinie za dziecko jeszcze, z dziecin-

na też prostotą zbliżyła się do opuszczonego, usiłując go pocieszyć, i zawiązała się między nimi pewnego rodzaju przyjaźń, uczucie pełne życzliwości szczerzej ze stron obu. Niewierna wysłała tymczasem zamąż i Mozart wyjechał z Monachium; już nie kochał, ale cierpiał jeszcze, i stosunki wszelkie zostały zerwane, aż blisko w cztery lata potem spotkał w Wiedniu rodzinę Weberów przypadkowo. Wdowa zamieszkiwała z trzema młodszymi córkami na Petersplatz, w domu zwanym „Pod Opatrznością“ gdyż na jego frontonie jaśniało ponad bramą oko Boże wśród promieni i Mozart który właśnie pomieszkania poszukiwał, przystanąwszy aby popatrzeć, zobaczył kartę, obwieszczającą, że jest tu pokój do najęcia i poeta, jak sztukmistrze wszyscy, powiedział sobie, że tu pod okiem bożem powinno być ludziom dobrze, bezpiecznie, więc wszedł i spotkał znajome twarze. Chciał się cofnąć, chciał uciekać, bo niezabliźniona jeszcze rana zabolęła, ale trudno mu było. Przyjętym został gościnnie, jak dawny znajomy, Konstancya zwłaszcza wywarła na niego bardzo miłe wrażenie, a nie był to już ten dawny podlotek dobry i wesoły, którego życzliwość miła mu była, ale blisko ośmnastoletnia panna, bardzo powabna. Wyciągnęła do niego rękę z dawną życzliwością i stało się tak, że pokój do najęcia znalazł w nim lokatora, a dobrze mu tu było, wygodnie, spokojnie, ale ludzie, którzy są wszędzie jednakowi, zaczęli robić uwagi, wyciągać wnioski, które doszły do Salzburga i ojciec napisał surowo, aby pomieszkanie zmienił natychmiast, aby „nie dał się złapać w sidła“. — Daremnie syn bronił się i tłumaczył, że mu tu lepiej, niż mogłoby być gdziekolwiek indziej, że o miłości z żadnej strony mowy być nie może. Ojciec despota nalegał i syn usłuchał, ale stało się teraz to właśnie, czego pragnął nie dopuścić. Oddalenie podniosło urok młodej przyjaciółki; wśród tych godzin pustelniczo pędzonych, które poprzednio w rodzinie jej przebywał, samotność zaczęła mu ciężać, zaczął tęsknić i poczuł, że choć nie było w jego sercu tej miłości namiętnej, jaką niegdyś obudziła w nim siostra starsza, młodsza była mu bardzo miła, tak miła, że brak jej obecności, brak przyjemnego, codziennego stosunku, staje się dlań cierpieniem.

Ogarnęło go też takie uczucie próżni, że znieść go nie mógł, a że i ona doznawała podobnego uczucia, musiało przyjść do wyznania, że im obojgu źle bez siebie i syn, tak dotąd posłuszny, nagle zrozumiał, że przychodzi chwila, w której człowiek musi żyć na własny swój rachunek, na własną odpowiedzialność doli i niedoli. Raz jeszcze do ojca napisał, przyznawał, że rodzina jego ukochanej nie odpowiada temu, co by można nazwać wzorowem, że przy braku majątku chęć utrzymania jego pozorów jest rzeczą często śmieszną a zawsze podkopującą to, co się nazywać może szczęściem w rodzinie; ale jego Konstancya, dlatego właśnie pokochaną została, że nie podlega tej wadzie, że pracuje — że jak kopciuszek służy wszystkim, jak kopciuszek chodzi w przeszarzanych sukniach siostr starszych. — Potrzeba mi takiej żony właśnie — pisał ojcu w liście owym — jestem przekonany, że z żoną taką cichą i dobrą szczęśliwszym będę przy posiadanych dochodach, niż z wszelką inną...“

Nie pomogło to przecież nic wobec uzasadnionej poniekąd niechęci, jaką Mozart ojciec żywił dla rodziny, wśród której syn jego szukał towarzyszek dla życia swego, co pokazało się obustronnie, bo i matka Konstancyi, dotknięta w dumie swojej, okazała się mało przychylną temu związkowi.

Małżeństwa odwlekane nieraz nie przychodzą do skutku, i kobieta małoduszna zażądała od rozkochanego młodzieńca, aby na przypadek podobny zawiedziona otrzymała wynagrodzenie strat i spodziewanych korzyści przez zapewnioną jej do śmierci pensyą 300 zł. reń. Biedna Konstancya zalewała się łzami, Mozart musiał uczuć w sercu pogardę dla przyszłej świekry swojej, ale w sercu jego była miłość gorąca, wiedział przytem, że jego wybrana nie jest podobną do matki i przystał na wszystko, wydał cyrograf żądany w obec świadków, wobec opiekuna małoletniej, ale cicha

i łagodna dotąd dziewczyna uczuła w sobie nagle zdolność do oporu. Ledwie, że opiekun i świadkowie wyszli za drzwi, ona upokarzający ją akt podarła w drobne kawałki, odzywając się do ukochanego, że żąda tylko jego miłości, której straty nie-by jej wynagrodzić nie mogło. Rzeczy zostały przecież podawane, ale coś z tej tragedji rodzinnej doszło do uszu ludzkich; czerniono dobre imię biednej dziewczyny. Mozart cierpiał, lecz syn posłuszny i przywiązany nie śmiał się jeszcze ważyć na nieposłuszeństwo ojcu, jeszcze go raz błagał w liście bardzo pięknym i szlachetnie napisanym, że tu nie o jego jedynie szczęście chodzi. Gdy przecież odpowiedź przychylna nie nadchodziła, uczucie męskiej godności, uczucie odpowiedzialności człowieka za czyny swoje podniosło mu się w piersi, i d. 4 Sierpnia 1782 r. nastąpił ślub, na który i ze strony matki panny młodej nie było szczerego, chętnego zezwolenia. Jedną z wielbicielek muzyki Mozarta, bogata pani z arystokracji wiedeńskiej, baronowa von Waldstätten, wzięła sprawę w rękę i doprowadziła do szczęśliwego skutku; u niej odbyło się wesele, na którym matka panny młodej znajdowała się prawie że przymuszona a pan młody, donosząc rodzicom o spełnionym fakcie i dodając, że młodą małżonkę przywiezie im wkrótce, aby nauczyła się ich kochać, zakończył: „Gdy ją poznacie, gdy oczy wasze oglądać ją będą, przyznacie to samo, co ja — że dobrze myśleć umiemy, sprawiedliwa, cnotliwa i miła sercu małżonka jest szczęściem mężczyzny“.

Nie zawiódł się w tej ocenie swojej stosunku małżeńskiego. Jakkolwiek młoda para nie opływała w dary fortuny, rozumne poprzestanie młodej małżonki na to, co ma, jej uczciwe pojęcie życia i tego, co szczęściem się zowie, jej pracowitość w dodatku, tak szczęśliwie umiała rzeczy układać, że braków nie było — że życie uśmiechało się do obojga, a nawet talent Mozarta przy spokojnem zadowoleniu serca wznosił się i potęgował. W genialnym artyście było i coś fantasty, ale ona zrozumiała to, i siebie, własne przyjemności, własne zadowolenie nie stawiająca na planie dalszym, umiała pozostać szczęśliwą i uszczęśliwiającą. On to czuł i odpłacał wdzięcznie coraz tkliwszem, głębszem uczuciem, nietylko przywiązania, ale i szacunku. Dwoje dzieci, dwóch chłopców zdrowych i pięknych, przysporzyło im jeszcze szczęścia, gdy śmierć przedwczesna w 1791 r. wydarła mistrza i rodzina znalazła się nagle wobec nędzy prawie, bo ten, który poił dusze ludzkie szlachetnego używania rozkoszą, który zostawił po sobie skarby nieprzedawniającego się nigdy piękna, nie mógł zapewnić żonie i dzieciom choćby już tylko uchrony przed biedą. Wdowa, choć go kochała miłością tkliwą, niezaprzeczącą sobie nigdy przez cały ciąg małżeństwa, nie miała dość siły, aby dźwignąć ciężar życia samotnie i wyszła raz drugi za mąż, za dyplomata duńskiego von Nissen, który był jej dobrym życia towarzyszem, dobrym dzieci jej opiekunem; niemniej coś mimowoli serce ścisła, coś mimowoli sercu cierpieć każe, że w piersi tej wiernie ukochanej genialnego mistrza nie było tej siły uczuć podnioslejszych, któreby jej nakazały zostać wierną jego pamięci. Była to kobieta dobra na miarę życia pospolitą; za chwil młodości swojej miała jakiś moment wznioślejszego uskrzydlenia ducha, potem przecież życie nauczyło ją być praktyczną. Mieszkała z mężem swym drugim w Salzburgu, żyła długo, przeżyła więc i jego o lat szesnaście pierwszego o pięćdziesiąt jeden i umarła dnia 26 Marca 1842 roku blisko ośmdziesięcioletnia w tym dniu, kiedy żelazny pomnik Mozarta miał tam być wzniesionym. W biednem sercu starem wzbudziło się pod siłą wspomnień uczuć dawnych wzruszenie i zdjęła je snadź tęsknota taka, że duch rozwiązał się z ciała i uszedł tam gdzie już niema rozłączeń i zapomnień, gdzie panuje miłość wiekuista.

M. I.

SELIM I MOLRACH.

Wśród stepów Arabii jest cudne ustronie:
Od słońca promieni krynica tam płonie;
Tam palmy zielone swe czoła złocone
Przed wiatrem schylają stepowym.

Tam ziemia na wiosnę w ziół tonie powodzi;
Spragniona gazella do źródła tam chodzi,
I łzawem swem okiem po stepie szerokim
Spokojnie rozgląda się wkolo.

Sam Allah ukochał ten cichy szmat ziemi:
W noc ciemną mu świeci gwiazdami złotemi
Zefirem całuje i niebo maluje
Świetnemi barwami lazuru.

W przybytku tym bożym dwóch druhów
[mieszkało.
Snadź, niebo ich tutaj łaskawe zesłało.
Selimem jednego, Molrachem drugiego
Nazwały Arabów plemiona.

Nie błyszczał ich namiot ni srebrem ni złotem;
Lecz smutku nie było pod białym namiotem,
Bo Allah był z nimi: pieśniami dziwnymi
Napelniał młodzieńcze ich usta.

Nic dla nich nie było tajemnem na świecie:
Jak w stepie wiatr szumi, jak wonne drzy kwie-
[cie
I dumy serdeczne i czyny waleczne
Pokoleń, co drzemią w kurhanach.

Gdy rumak Araba spieniony od biegu
Oczyrna step mierzyl, szukając noclegu,
Tu znalazł palm cienie i gasił pragnienie
Chłodzącym napojem u zdroju.

A syny pustyni o licach bronzowych
Wśród wiotkich palm wianka, kaktusów różo-
[wych
Modlitwy szeptali i pieśni słuchali
Pod nieba bezbrzeżnym namiotem.

O! ileż-to nocy tak Arab wsłuchany
Przesiedział, przemarzył; aż promień różany,
Pogodne zaranie i konia parskanie
Do dalszej budziło go drogi.

A wtedy pieśniarze zegnali pielgrzyma
Serdecznem życzeniem, smutnemi oczyma;
Niejedna łza czysta, perłowa, przejrzysta
Po młodem stoczyło się licu.

I lata pieśniarzom schodziły, jak chwila,
Jak serca zachwyty, jak życie motyla;
Lecz nadszedł czas inny: dźwięk pieśni niewinny
Zamilknął w stepowym ustroniu.

Był wieczór i zorze paliły się krwawe
Dzień konał; w tem jeden z nich ujrzał kurzawę
I wicher stepo wy zgrzyt przyniósł podkowy,
Co w pędzie o głazy potrąca.

Chwil kilka — i jeździec przed namiot zawrócił;
Spiał konia i turban znad czoła odrzucił
I krzyknął: „Hej, wody! Ze słońcem w zawody
„Po stepie jam pędził dzień cały“

„I patrzcie!—już słońce się w chmury schowało
A jam się z mym koniem nie zmęczył; mnie
Zwycięstwa nad słońcem! Pragnienia jam goń-
[mało
[cem!

Ta żądza mózg chyba mi spalił“

I dziwnym mu ogniem spłonęła żrenica,
I bladym rumieńcem powlokły się lica,
I usta mu drżały i dziko szeptały:

„Mnie wszystko to mało: ja pragnę!“

A gdy mu w puharze podano napoje
Wysączył go do dna i puhar na dwoje
Roztracił o głazy z dzikimi wyrazy:

„Mnie mało!“ — spał konia i zniknął.

Rzecz dziwna: Araba już niema i stepy
Znów milczą, jak martwe wielbłądów czerepy;
Lecz w duszach pieśniarzy skra jakaś się żarzy
I usta coś szepcą wybladłe....

I chodzą, jak w klatce więzione sokoły;
Znikł spokój z ich twarzy, i uśmiech wesoły,
I pieśni ustały; zbrzydł namiot im biały:
Im mało namiotu i ciszy.

Aż wreszcie rzekł Selim do brata Molracha:
„Ujuczmy wielbłądy, uczcijmy Allacha
Pielgrzymką do Mekki; choć kraj to daleki,
Lecz Allah nam drogę pokaże“.

Lecieli!—I słońce paliło im głowy
I usta wysuszył huragan stepowy,
I skóra pękała, od słońca stwardniała,
Zpod powiek krew ciekła kroplami.

I długo tak, długo błądzili w pustyni
Wciąż marząc o pięknej Allacha świątyni;
Już wodę wypili, już brakło daktyli,
I wielbłąd iść nie chciał zgłodniały.

Gdy wreszcie przy zorzy porannej odbłasku
Znajomych pielgrzymów spotkali na piasku,
Upadli ze łzami: „Litości nad nami!
„Ach wody! pragnienie nas dręczy!

„Wy do nas po pieśni chodzili w ustronie!“
Lecz jeden z pielgrzymów rzekł ostro „Hej,
[w konie!
Nam potem zabraknie! Niech ginie, kto łaknie!“
I cwałem ruszyli. O, ludzie!

Już słońce na niebie stanęło wysoko;
Pieśniarze wciąż klęczą bez ruchu; ich oko
Bezmyślne, jak szklane; ich wargi spękane
Krzyk jeden wydały rozpaczny:

„O Allah! O Allah! jak straszne twe sądy!
Znużone już dalej nie pójda wielbłądy!“

Sił brakło i padły, i szakał zajadły
Rozrywał ich ścierwa wyschnięte.

Wciąż marząc o Mecce, skonali pieśniarze;
Lecz tylko zwodnicze świątyni miraż
Ujrzeli na ziemi... Huragan nad nimi
Pieśń zawył grobową... ostatnią

Jest w stepach Arabii bezładne ustronie;
Od słońca promieni, krynica tam płonie,
Tam palmy zielone swe czoła złocone
Przed wiatrem schylają stepowym.

Tam ziemia na wiosnę w ziół tonie powodzi;
Spragniona gazella do źródła tam chodzi
I łzawem swem okiem po stepie szerokim
Jak dawniej, rozgląda się wkoło.

Mortan.

Kobieta w XX wieku

STUDYUM

Juliusza Simona

[Człon. Akad. fran.

i

Gustawa Simona

Doktora Medycyny.

(Dalszy ciąg).

IV.

Ż o n a.

Do rozważania pytań żywotnych wprost w całej ich rozciągłości, do spojrzenia w oczy powadze życia prowadzi nas autor powoli, na pozór bez systematów, okrążył przedmiot z różnych stron, przygotowuje nas od niechęcenia. powtarza główne swoje prawdy, ażeby nas w końcu na pewno przekonać.

Salon nasuwa mu potrzebę ostrzeżenia przed niezdrowymi skłonnościami, przed fałszywą, a drobną ambycją. Żali się Simon na chorobę, wykołajania się ludzi we Francji. Warto zwrócić uwagę na ostrzeżenie, które daje.

„Robotnik wiejski chce zostać fabrycznym i stać się niby wyższym obywatelem, *bourgeois*, panem. Robotnik miejski nienawidzi pryncypała, a zazdrości mu i sam chce nim zostać. Rolnik i kobieta wiejska chcą także bawić się w państwo a wyzuwać się ze swoich tradycji. Postęp przemysłowy, wytwórczy zmienia obyczaje, ułatwia tę zmianę postęp materialny, lecz nie dotrzymuje im kroku postęp moralny. Tymczasem zdrowie społeczeństwa polega na tem, żeby każdy prowadził życie, jakie jest dla niego właściwym, żeby każdy kochał swój stan i był z niego dumny. Niechaj kobieta wiejska pozostanie przy pracy swojej, niechaj gospodyni umie prowadzić rachunki, niechaj szyje, myje i naprawia lepiej, niż jej służące, niechaj będzie dla nich mistrzynią w kuchni. Trzeba tylko, żeby praca nie przewyższała jej sił, żeby mężczyzna brał na siebie więcej pracy ciężkiej i przykrej. Jeżeli przytem gospodyni potrafi być nieco panią co do ubioru, (byle została przy stroju własnym, tradycyjnym), co do szlachetności rozrywek, co do wzięcia,—będzie to tylko zaletą.

Jakież-bo są właściwe dla kobiety zakresy działania? Pierwszem jej zadaniem jest, żeby dom jej był słodkim, przyjemnym dla tych którzy żyją pod jej rządami. Ale nadto ma ona obowiązki względem nieszczęśliwych, teżsame co mężczyźni, przecież inne. Wspaniałomyślność mężczyzn ma w sobie zawsze coś wyrozumowanego, rachunkowego, formalnego, podczas gdy u kobiet jest ona wrodzoną i zraszaną łzami. Matka rodziny winna oddawać jej cały swój czas i serce, lecz niemniej zostaje jej zawsze coś jeszcze dla tych, co cierpią. Każda kobieta ma jakąś swoją ulubioną, cichą dobroczynność. Ileżto towarzystw dobroczynnych potworzyły kobiety! W każdej kobiecie jest nauczycielka i siostra miłosierdzia. W Anglii są szkoły niedzielne zadaniami kobiet. Zakonnice i kobiety świeckie spotykają się na swoich drogach, gdy idzie o walkę z ciemnotą, nieszczęściem, chorobą, zepsuciem. Tylko nie trzeba z dobremi uczynkami mieszać głośnej ruchliwości, która pod pozorem dobroczynności szuka jedynie rozgłosu i rozrywki. Ostentacya nie godzi się z cnotą. „Wyznaję, że

tyle mnie zajmują owe niespokojne zabiegi, co wytworzenie nowej jakiejś materii na suknię. A nawet nowa tkanina jedwabna może być wielce pożyteczną dla Lyonu i St. Etienne i z tego względu zasługuje na uwagę. Lecz jeżeli się urządza bal na dobroczynność, który kosztuje 50.000 franków, a przynosi dochodu 5.000 — toż trzeba zapytać: dla kogo jest ten bal? Jest tam zabawa, wystawa toalet, następują pochwały w dziennikach dla wdzięku i miłosierdzia, lecz nie zdaje mi się, żeby miano prawo używać świętego sztandaru nieszczęścia dla osłonięcia nim tych wszystkich uciech. Grać komedią dobroczynności nie jest szlachetnie.“

„Piękny to zwyczaj, że Akademia Francuzka rozdaje nagrody za dobre czyny. Piękne cnoty są koronowane przez talenta. Corocznie zapoznajemy się z kobietami, któreby same potrzebowały pomocy, a które poświęcają się wychowaniu lub wspieraniu całej rodziny nieszczęśliwych. Wiara przenosi góry, serce także. Jest ono silniejszym niż Pasteur, niż Edison, i silniej też nas zachwyca, niż geniusz“. Otóż potrzeba, żeby kobiety były urzędowymi członkami biur i zakładów dobroczynności. Wspomagać, leczyć, to zadanie kobiet. Należy kobiety postawić tam, gdzie mogą być użytecznymi, a niechaj nie marzą o tem, żeby się dostały tam, gdzieby przeszkadzały i innym i samym sobie.

Na politykę mogą kobiety mieć wielki wpływ. To nie paradox: mogą mieć ten wpływ, ale pod warunkiem, że nie mają praw politycznych. Czyliż godziłoby się kobiecie wieść spór z mężem, albo z synem o kandydata na posła? Czy godziłoby jej się samej kandydować? Czyliż rzucą raz na pole walki mogłyby być dalej uważaną za kobietę? W polityce jest tylko przyjaciel lub wróg. Niema tam respektu ani dla wieku, ani dla zasług, ani dla sławy, ani dla geniuszu. Czyliż to miejsce dla kobiety? Raz ogłoszona równą, traci wszelkie prawo do względów. Zostałaby jej tylko fizyczna słabość, więc przepadłaby. Szacunek, polor obyczajów, tajemnica ogniska domowego, wszystkoby przepadło i z rodziny zostałaby zaledwo opieka nad pierwszym dziecinstwem. A w zamian cóżby kobieta zyskała? Znaczenie. Toż byłaby w tej surowej walce zawsze pobita. Stojąc poza walką, jest potężną, wyływową; wniesiona do walki byłaby niczem i niby nie mogła. A mężczyźni cóżby zyskali? Czyliż duch kobiet nadaje się do finansów, do statystyki, do ekonomii politycznej, do prawoznawstwa? Czyliż zdoła ona poświęcić osoby dla zasad, rodzinę dla kraju? Smutne byłoby to dla obu stron podarki. Ci, co domagają się takich zmian, żądają nie reformy, ale ułożenia. Zniesienie różnic jest chimerą. Odmienne są u obu płci umysły i serca i chwała Bogu, że tak jest. Jedność w romantycie, to najwyższe dążenie sztuki, jest także warunkiem życia porządnego w społeczeństwie.

Należy wzmóc szczęście, rozwijać przymioty i talenta kobiet, ale chcieć zrobić z nich mężczyzn, to znaczy zdegradować je. „Dlatego, że kobiety nie wybierają posłów, że same nie są posłami, że nie rozprawiają w klubach, na zebraniach, na trybunie; dlatego właśnie mają prawo wywierać na politykę — to znaczy wogóle na sprawy publiczne—wpływ moralny; mają prawo odzywać się w sprawach sprawiedliwości i honoru, prawo zwalczać błahe przesady krępujące życie mężczyzn i ludów... „Gdyby sprawy publiczne były kobietom oddane, prowadziłoby je raczej serce, niż rozum. Byłoby to złem; ależ niemniejsem jest złem tłumić serce. Nie na próżno uczynił je Bóg tak potężnym, i nie na próżno stworzył kobiety, żeby były jego apostołkami. W porządku publicznym przedstawiają one, jak mówi pani Staël, serce i honor, które wykonywają swoje władztwo przez opinią i przez uczucie“.

Światu całemu grożą przewroty; zniszczą one może cały dorobek cywilizacyjny. Oto urząd dla kobiet, torować drogi dla rozbrojenia i rozjemstwa. Nie zdołają kobiety zapobiedz wojnom, lecz mogą je odraczać, łagodzić ich srogość: toż wojna zadaje kobietom srozsze cierpienia niż mężczyznom, gdyż one pozostają po wojnie.

Wszystkie te roztrząsania, to dla autora ciągle jeszcze niby wstęp, teoria, hasła ogólne. Teraz idzie do szczegółów i zaczyna od stanowiska *żony*.

Autor przedstawia zwięźle, jakie stanowisko społeczne zajmowała kobieta w historii, począwszy od stanu niewolnictwa, poddaństwa, aż do stosunków dzisiejszych, zapewniających jej już prawa ludzkie, zachowujących atoli znaczne różnice co do jakości i ilości praw mężczyzn, a kobiet. W końcu powiada: kobiety są słabsze, mniej mogą zarobić, więc też mniej znaczą w rodzinie. Myśl ta wyraża tylko rzeczywiste przekonanie większości w każdym społeczeństwie.

Zwolennicy „emancypacji“ zaczęli się tedy oglądać za zyskowną pracą dla kobiet. Pomaga im w tem postęp nauk, tak, jak reformom politycznym sprzyja prąd demokratyczny, a przemianom społecznym ruch filozoficzny; więc powstało hasło: kobieta niechaj zarabia na życie tak, jak mężczyzna, niechaj zatem ma tę samą prawa w państwie i w rodzinie.

Obecnie panujemy nad siłami natury, nie za pomocą naszej siły, ale inteligencją i zręcznością, więc kobiety są do tego zdolne; one dzisiaj spełniają główne funkcje w fabrykach tkackich, sukieniczych, w drukarniach; zaczynają wypełniać biura, a znoszą lepiej życie siedzące; prowadzenie ksiąg przypada im wybornie, przyswajają sobie dobre pismo, doskonale umieją pisać sprawozdania, wyrabiać referata. Nawet na kolejach żelaznych zaczynają być przyjmowane na strażniczki; na linii Dombes są kobiety naczelniczkami stacy; są poborcami, pocztarkami; są nauczycielkami w szkołach mieszanych, a z początkowych, na wet męzkich, zupełnie już mężczyzn wypierają. Podniesiono żądania, ażeby były dostępne dla kobiet wszelkie urzędy i zawody t. z. wolne. Kto zda egzamin wstępny, niechaj mu wolno będzie kończyć wszelkie wydziały uniwersyteckie. W Ameryce, w Belgii są już kobiety — adwokatami; we Francji są lekarki i aptekarki. A więc niema już żadnej racji, ażeby co do praw politycznych i co do władzy w rodzinie nie były zrównane z mężczyznami. Co do praw, to rzecz jasna, jeżeli będą wyborcami, muszą być i wybieralnemi; jeżeli są adwokatami, muszą zdobyć prawo do godności sędziów.

Wobec tego prądu należy wziąć pod rozwagę cztery względy: słabość fizyczną kobiet, umysłowość ich niższą, trudność pogodzenia życia publicznego z warunkami i obowiązkami ich stanu, nieuniknione następstwa w ustroju rodziny.

Słabość fizyczna nie ma znaczenia; do pełnienia obowiązków obywatelskich nie potrzeba wykazać się siłą do dźwigania centnara.

Niższości umysłowej trudno dowieść. Prawda, że genialne kobiety są zaledwo wyjątkami; poetek bywa wiele, ale nie pierwszorzędnych; autorek historii, filozofii zgoła niema. Pani Staël, św. Teresa, Heloiza to wyjątki. Wspomniano już, że celują tylko w listach i w powieściach; Sand i Cottin nie ustępują Walter-Scottowi i Balzac'owi. W sztuce oprócz Rozy Bonheur (u nas Bilińska) są tylko małe talenciki; w muzyce tylko wirtuozki. Może to wina wychowania? Ależ od wielu już lat nic nie stoi na przeszkodzie do rozwoju każdego talentu! Wniosek ostateczny wypada taki: uzdolnienie mężczyzny wyższym jest od uzdolnienia kobiet; historia to stwierdza, psychologia to wyjaśnia. Pozostają zatem ostatnie dwa względy, a tutaj sprawa inaczej się przedstawia.

Czyniąc z kobiety osobistość polityczną, zmienia się ją rdzeniem. Niema już mowy wtedy o bojaźliwości, o skromności, o życiu cichem, o zwyczajach domowych; wszystko to jest sprzeczne z wymaganiami życia politycznego. W życiu politycznym kobieta zrównana z mężczyzną byłaby bardzo nieszczęśliwą, gdyż bądźco bądź byłaby bezsilną, unosiłaby ją namiętność dla wytkniętych celów, stałaby się nieważną. Taka reforma społeczeństwa równa się jego rozbiciu. Podobnie jak w małżeństwie: gdyby zmieniono hierarchią, zniesiono przodownictwo męża, musiano by znieść małżeństwo. Spółka może istnieć między trzema; między

dwojgiem nie przetrwałaby pierwszej dysskusji. Reformatorci kują broń przeciw sobie; jeżeli usuwają pana, usuwają zarazem opiekuna, obrońcę — a bez opieki trudno kobiecie przejść przez życie. Różnice, które leżą w naturze, nie dadzą się usunąć, albo wszelki zamach na nie musi się mścić. Kobieta, jako stworzona do życia domowego i do pracy w domu, stworzona jest tesaem do podlegania pewnemu kierownikowi i do uznawania, że tak jest dobrze. Słuszny można mieć żal, jeżeli to kierownictwo jest złem, ale psychologia wykazuje, że kierownictwo jest niezbędnem.

Kobieta, zarówno jak całe społeczeństwo, ma tensam interes: ażeby małżeństwo istniało z władzą męża, bo bez niej jest niemożliwym, i ażeby kobiety nie były przemieniane na mężczyzn przez nierozważne przyznanie im praw politycznych. Złą jest ta reforma ekonomiczna, która wydalaby kobiety z domu i czyni je robotnicami w fabrykach. Złą jest reforma polityczna, która je robi czynnymi obywatelkami; złą jest reforma społeczna, która je zamienia w spółnika w spółce dwu osób, o dwóch podpisach tej firmy.

Są atoli przemiany nieuniknione, które należy przyjąć, są one nawet sprawiedliwe i pożądane. Kobietom prowadzącym zawód handlowy czy przemysłowy należy się prawo wybierania sędziów rozjemczych; kobiety pobierające placę lub honoraria muszą mieć do nich prawo takie, jak do majątku posagowego; wszystkim kobietom należy się prawo ważnego głosu, czynnego udziału w sprawach dotyczących sumienia i małżeństwa. Są reformy, które, zaprowadzone bez ograniczenia, byłyby zgubnymi, w pewnych zaś granicach są pożądane; np. żona, nie może mieć praw wyborczych, lecz mogą one być wykonywane przez wdowę. W roztrząsaniach tych nie idzie atoli o zmiany prawodawcze, ale o wskazanie kierunków wychowania. Jest to niezaprzeczonem, wszędzie i zawsze prawdziwym, że dla szczęścia kobiety, jej męża i dzieci, powinna ona ograniczyć się do domu, rozwijać swoją działalność na usługi rodziny. Niemniej prawdą jest, że kobieta ma prawo obrać sobie jakiś zawód. Na wypadki utraty majątku, choroby, lub kalectwa męża, na wypadek owdowienia, może być kobieta zmuszoną do porzucenia dzieci, ażeby dla nich na chleb zarabiać. Tak czyni matka, która dla chleba własne dziecko na obcych ludzi zdaje; nędza, albo rozłączenie — z tych dwojga złego wybiera mniejsze. — Zadaniem przeto wychowania jest przysposabiać kobietę na żonę i matkę, jako na zawody naturalne; nauczyć ją zarabiać, bez porzucania domu, o ile się to tylko da osiągnąć; wreszcie przysposabiać ją do samodzielnego zarabiania i poza domem, ale tylko, jeżeli konieczność do tego zmuszać będzie. W tych trzech wskazaniach mieści się całe zadanie wychowania dziewcząt, ażeby w XX wieku były kobiety szczęśliwszemi, lepszemi i żeby podobały nowoczesnym warunkom życia.

Twierdzenia tu uzasadnione rozwija autor następnie na poszczególnych przykładach, na wypadkach typowych.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Alfr. Szczepański.

DROGA PRZEZ LAS

POWIEŚĆ

przez

AUTORKE „NA STARYM GRONCIE”.

(Dalszy ciąg.)

Postanowienie powzięte dało Marysi zakosztować dziwnie słodkiego uczucia uspokojenia i ra-

dości takiej, jak gdyby odzyskiwała wielki jakiś skarb stracony. Stary grunt rodzinny nie usuwał jej się z pod nóg, nie puszczała się na niepewne fale nieznanego jej życia, które odcinałoby ją od przeszłości całej, ukazując jej jedynie przez mgłę niewyraźnie zarysowane kontury przyszłości. Nie pracy się bała, bo i tu pracować musiała, ale niepewne pracy tej warunki, ale jej poszukiwanie, ubieganie się o nią straszło ją i dodać trzeba: raniło skrycie tę dumę, kryjącą się w pewnym kąciuku serca wszystkich ludzi tej klasy, co ona — tej klasy nie pracującej przez całe szeregi pokoleń na zarobek najmity. Ze przecież była rozumną, otrząsnęłaby się niewątpliwie z przesądu, zapanowała nad nim i wydobyła z głębi swej dumy inną, któraby to zwalczyła: dostojne uczucie niezawisłości na siłę jej własnej istoty ugruntowane. Byłaby z pewnością doszła do tego, choć przesady wiekowe są jak perz w roli: wycinaj go, wyrwij, on ci się odrostkiem jakimś gdzieś głęboko ukryje i puści niespodziewanie wyrostki, jeżeli go zębami żelaznych grabi z korzeniem całym nie wyrwiesz. Tu nic tego nie było — bo zostawała między swymi, bo odczuwała silniej pożytek pracy, której ideę kochała, tu wreszcie nie rozstawniła się z nawykniętymi przeszłości, z ukochaniami całego życia swego. Ludzie drapali się przecież w głowę, gdy im to życzenie swoje objawiła. Panienska miałaby uczyć za pieniądze ich dzieciśka!.. mówili, patrząc jeden na drugiego, jak gdyby im kto prawił bajkę o grającej wodzie, śpiewającym drzewie, gdy przecież poważnie, spokojnie pomówiła ze starym sołtysiem, zrozumiał ją i przyświadczył, że sobie dobrze uradziła.

— Świat się kołem obrócił — rzekł markotnie, ale przyznał, że panienska miała rację, bo człowiekowi zawsze lepiej między swoimi i na miejscu wszelka rzecz porasta. Z kolei przyjść musiała przecież i kwestya odkupienia od gromady dworu i ogrodu, radzono o tem wszystkim w karczmie, w dużej przestronnej izbie, gdzie się zeszli wszyscy. — Trzeba przemierzyć akuratnie — postawił pierwszy wniosek Stach, a wszyscy mu chórem przyświadczyli. — Trzeba przemierzyć — powtarzał jaki taki, aż naraz stary Siek głową kiwać zaczął: — Co tam tego będzie, jak się rozdziewa, mało co więcej na każdego jak funt kłaków...

— Dwór zgoła piękny — ozwał się któryś.

— Piękny, niepiękny, tyś za niego nie płacił — odparł Siek — kupiśwa ziemię i nie więcej. Idź spytaj się księdza, czy to Pan Jezus pozwolił takim chytrym (*) być? Panisko już stare, a panienska przy nim sama jedna jak palec, ani brata, ani siostry. Pamiętasz jak twoją Zośkę leczyła, gdy miała tą duszność z gruczołami w gardle? Każdy mówił: zaraźliwa, ona się przeto nie bała, a tobie teraz to w głowie stoi, że dwór piękny...

Roześmiano się chórem, chciwy chłop się zaplonił, a Siek położył rękę na stole. — Gdyby nawet poganin z paniskiem biednym się rachował, to-by wziął ino tyle, co ziemia warta, ale ja tam, ani grosza z tego nie tknę. Panienska chce nasze dzieciaki uczyć, a gdziebyśwa znaleźli dla nich naukę taką? Zebyśwa tu wór złota zesypali, to-by takiej drugiej nie znaleźli...

Człowiek był poważny, wzrostu dobrego, szpakowaty już i od czoła łysy, a gdy mówił, rękę na stole trzymając, uczucie jakiegoś poszanowania przejęło wszystkich. Zgodzono się odstąpić panu Kazimierzowi cały dziedziniec, jak go grabowe szpalery od gumien oddzielały i ogród w tyle dworu, i sad rozciągający się bokiem od ogrodu, dalej stajnie i okólnik cały ze studnią w pośrodku o zórawiu wysokim. Tak się rozgrzewały serca, gdyby w tej chwili p. Kazimierz był tu wszedł i powiedział, że nie może dać za to nic — bo okradziony przez złodzieja nie nie ma, już-by to rzeczy nie zmienilo. — Bierz darmo, ojeze i dobrodzieju nasz! — wołano na wszystkich głosy, choć nazajutrz może żalowanoby tego; ale Siek rozumnie sprawę po-

(*) Chytry w języku ludu stron tamtych znaczy łakomy na grosz, na posiadanie.

prowadził; zmierzono przestrzeń, p. Kazimierz tyle za nią oddał, co poprzednio wziął i gdy nazajutrz po zakończeniu tej sprawy trochę zmęczony, a może więcej wzruszony, do domu wracał, Marysia czekająca go w ganku, przytuliła mu się do serca.—Nie jesteście tułaczami bez kąta własnego—rzekła, całując jego rękę.

— Tak—odparł sędziwy pan smutnie — dla mnie to dość i dożyję tu cicho kresu swego, ale ty... ty młoda.

— A co lepszego znalazłabym tam w mieście?—zawołała żywo.—Szukałabym pracy mozolnie, walcząc o nią z takimi, jak ja, biedaczkami, szukałabym jej nieraz może rozpaczliwie, biorąc ją gdzie się znajdzie, nie tylko dla zapelnienia próżni życia, ale dla kawałka chleba, dla dachu nad głową...

— Ach, dziecko moje...

— Mogłoby z czasem tak być, ojcze, bo wiem, że bywa tak nie z jedną. Najpierw szukając sobie dróg tej pracy na oślep, chwytając się jej naukę, naśladowując zagranicę, gdzie warunki życia są inne, i widziałem ja to, ojcze, te malowidła na atlasie, na skórce, na porcelanie, tę sztukę stosowaną do przemysłu, koronki dzierżgane mozolnie w pokojkach dusznych, smutnych—to życie pracy z dnia na dzień, bez zapewnionej przyszłości, bez zapewnionego jutra nawet, gdy dziś daje się przeżyć za ledwie.

Umilkła wzruszona, ale po chwili zdołała opamiętać wzruszenie.—Uratowała nas, ojcze, od podobnego losu miłość starego kąta rodzinnego — ciągnęła.—Taki ból, taki żal, taki niewypowiedziany smutek schwycił mi serce, gdy nadeszła już wyroczna godzina rozstania się z tem wszystkim drogiem, ukochanym, z czem się zrosła duszą, sercem, a co trzeba było rzucić, że zastanowiłam się i zapytałam: co ja tam otrzymać mogę w zamian za to, co pozostawię po za sobą? Ta sumka mała, którą posiadamy, starczyłaby na jakiś rok, na dwa może oszczędnie prowadzonego życia—życia na warunkach takich, że musiałby iść pod rachunek najściślejszy każdy grosz wydany, że kupiony u straganiarki bukiet kwiatów, że odetchnięcie świeższym nieco powietrzem zamiejskim już-by się liczyło do zbytów, bo pociągałoby za sobą wydatek nadetatowy, na który w położeniu takim nie wolno sobie pozwalać. A byłby to dopiero początek, i do jakiego doprowadziłby końca? W pierwszych chwilach okrutnych, w pierwszych chwilach ruiny nie miałam tak, jak teraz, zestawić sobie tego, com myślała uczynić podporą naszego życia, z tem co mi się obijało o słuch, gdy w roku zeszłym bawiliśmy w Warszawie. Pamiętam, że nieraz mówiłam sama, patrząc na te różne smutne produkuje, znane pod ogólną nazwą pracy kobiecej: — Ach! jak też można poświęcać czas na takie mało wartości rzeczy, z których w dodatku nie jeden żartuje. Nie pomyślałam wtedy, że to jest walka o byt, że to praca na chleb, że to chwytanie się jej takie, jak brzytwy, gdy ją dostrzeżę tonący.

Umilkła wzruszona, ale chciała się wypowiedzieć ojcemu z całego procesu uczuć i myśli, który się w niej rozegrał.—Ojcze—rzekła głosem nie do przyciszonym — mnie wtedy popychała przed siebie nierozważna duma, nierozważna miłość własna, którą zraniono... Ten człowiek, o którym myślałam że mnie kocha, ten człowiek, którego wyciągniętej do mnie ręki nie byłabym może odpuściła—ten człowiek zranił mnie boleśnie w serce samo widokiem nędznej walki staczającej się w jego piersiach z tem, co może nazywał miłością dla mnie, a nędznych wyrachowaniem. Ojciec! była to tragedia tak bolesna, tak bardzo bolesna i upokarzająca, że teraz jeszcze przy wspomnieniu tej chwili mogłabym podnieść rękę do góry i wołać jak te biedne sieroty wiejskie, gdy im umiera ojciec lub matka: Oj, dola moja... dola! Pasował się ze sobą ciężko, bardzo ciężko, a ja patrzyłam na to, przejęta razem żalem i wstrętem, a gdy nareszcie przyszła chwila, że uczucie zaczęło zwyciężać—chwila, w której za jednym wyciągnięciem ku niemu ręki, za jednym na niego spojrzaniem, byłabym go miała u nóg moich, ja już nie kochałam...

— Nie kochałam już — dodała spokojnie, bo przy pierwszym wymówieniu tych wyrazów okrutnych dla niej, głos jej drżał.—Nie kochałam i za nic na świecie nie byłabym już mogła przyjąć jego miłości, która musiała tak ciężko, tak okrutnie w nim walczyć... Gdyby go tak odciągała odemnie kobieta inna, inny cel jakiś: dumy, ambicyi, choćby fałszywej, a której związek nasz stałby na przeszkodzie, jeszcze może byłabym mu przebaczyła, zapomniała; ale szarpać się tak z sercem swoim o grosz...

Wymówiła te wyrazy z pogardą a p. Kazimierz westchnął smutnie.—Moje dziecko, moje dziecko drogie—rzekł—grosz, to nieraz na szali życia waga decydująca o doli i niedoli człowieka, a kto wie czy nie o obowiązku nawet spełnionym lepiej, dźwigniętym odważniej...

Ona znalazła mu się u kolan i przycisnęła sobie do ust jego chudą, białą rękę, z długimi palcami.—My ojcze, wyszliśmy jeszcze szczęśliwie z pogromu. Nie pójdziemy gdzieś w świat na wędrówkę tułaczą, i dożyjesz spokojnie pod tym dachem starym lat, przeznaczonych ci od Pana Boga...

Oczy jej patrzyły takim jasnym, czystym spojrzeniem, iż biedny p. Kazimierz uspokoił się pod tym jednym przynajmniej względem, że w sercu jej niema nic żalu za człowiekiem, który ostatecznie nie był jej wart. Lecz czy znajdzie się drugi, dostojniejszy szlachetny? Strapiony nie chciał jej pokazać tej wątpliwości swojej.—Niech Bóg radzi o swojej czeladzi—rzekł.

— Trzeba przecież, aby i czeladź trochę też o sobie radziła—odparła. Miała leciutki uśmiešek na ustach, ale oczy patrzyły poważnie, i wracając do przedmiotu, który dał początek ich rozmowie wykazywała, że to, co zabrałoby w mieście samo komorne, bardzo skromnego mieszkanka, tu da prawie utrzymanie.—Gdyby nie to, że mogę prowadzić szkółkę—dodała—zrobiłabym się modystką miejscowych elegantek. Szłyabym gorsety, przyjaciółki, stroiła czepecy, porwałabym się nawet na kwaciarstwo...

Ton jej głosu był wesoły, lekko żartobliwy; przecież to co mówiła wykazywało, że namyślała się poprzednio nad wyborem pracy chlebobodajnej.—Ojcze—ozwała się po chwili—to nie od dzisiaj dopiero ludzie na stanowisku naszym stanęli wobec takiej zagadki, że droga owa, którą jak gościńcem utartym szedł przez wiele setek lat stan jeden, musi zaciasną się stać. Pamiętasz ty ojcze, tę powieść Kraszewskiego, pisaną o wiele lat w tył, gdy ja ledwo być mogła malusią dziewczynką, dzieckiem: *Resurrecturi* (*?) Już wtedy stanęło przed oczami pisarza zagadnienie, jak ma radzić sobie zubożała rodzina bogatego niegdys rodu Horeszków? Po nową gałąź pracy sięgnęły ręce kobiece—po gałąź pracy groszodajnej, po zarobek chleba powszedniego; a warunki tu i tam bardzo podobne — podobna rzecz sama, tylko okoliczności odmienne, bo też to i stadium drugie procesu życiowego w tym kierunku. Ojcze, ja przecież to, co uczyniłam, nie wzięłam sobie od nikogo, z książki żadnej—pokazał mi drogę moją zdrowy rozsądek, ale się przyznam, że odzywało się zatem i serce. Ach, ojcze, jak się to serce ludzkie żyje z kątem swoim rodzinnym i jak ciężko, jak ciężko bardzo oderwać mu się od niego!

Spojrzała przez otwarte drzwi szklane salki na ogród, i mimowoli wyciągnęła rękę przed siebie, jakgdyby chciała włożyć w ramiona to wszystko, co wzrok jej obejmował. Była to chwila pierwsza po zachodzie słońca, którego łuna jeszcze skosem ziemię oświeca, lecz na niebo już zaczynają występować gwiazdy. Księżyc był właśnie na nowiu i sierp jego srebrny widniał ponad drzewami ogrodu, które stały ciche, a leciuchny wietrzyk, ledwo że poruszał ich liście. Kędyś w oddali słychać było rzechotanie żab w stawie, fujarka pastusza odzywała się pod lasem, a ją zdjęło rozczulenie jakiegoś serdecznego i wycią-

gnęła przed siebie ramiona, jakgdyby chciała włożyć w objęcia to wszystko miłe jej i drogie, jak ojcowizna jej stara.—Gdzie ja-by tam w mieście miała kiedy widok taki!—zawołała—takie szerokie na świat boży wejrzenie!—a że w tej chwili rozległ się z wieży kościelnej uroczyście dźwięk dzwonów, mimowoli osunęła się na kolana.—Aniele Pański!—mówiła, składając ręce do modlitwy.—Aniele Pański, uprosz ty mi u Boga, abym na tym drogim mi kawałku ziemi rodzinnej mogła żyć i pracować cicho na chleb dla starego mego ojca. Tam w mieście tyle ludzi, tam ścisł taki... Aniele Pański, niech ja tu odrobę dział mi wyznaczony, bo boję się samotna stanąć tam do walki z losem...

— A może ja tu i potrzebna? — doszeptowała — może ja tu potrzebna, malutka iskierka światła?

Postanowienia silne mają to do siebie, że stwarzają w nas siły niebywale, i na tem to prawie natury fanatycy przeprowadzają sprawy wielkie. W Marysi było też coś fanatyczki i podbiła sobie swój świat; ojciec poddał jej się zupełnie, a sąsiedztwo oswoiło się powoli z myślą dziwaczki, jak ją tam nazywano. Że w czasie robót letnich każde dziecko starsze jest na wsi rodzicom potrzebne do pasienia bydła, do dojrzenia chat, w których starsi ledwie że nocują tylko, więc otworzenie szkoły musiało być odłożone do początków jesieni; a ona miała jeszcze parę miesięcy letnich na używanie swobodne i korzystała z nich nieleniwie, krzątając się w światku tym małym, który sobie stworzyła. Rozpakowano najpierw wszystko, co już było na wyjazd przygotowane, a potem rozstawiono to po pokojach, rozkładano po szafach i szufladach komód, a jaka to wesoła była robota, przy której Marysia śpiewała sobie, jak ten ptaszek, który po dalekiej gdzieś w cieplejsze strony wędrówce, wraca na gniazdko swoje! Ojciec stary, widząc to, weselał również i nieraz podniosłszy wzrok ku górze, szeptał:—Dziękuję Ci, o dziękuję Ci, Panie, za dobre dziecko moje! Było to dziecko jego i mądre, wiedziało w czem jest prawdziwa siła, w czem jest podnieta życia, i wszystko wracało spokojnie do dawnego stanu, jedno tylko serce ludzkie w pobliżu niedalekiem, przebywało fazy różne klójących, targających się ze sobą uczuć. Pan Władysław, gdy po wziętym odkoszu pierwsze uczucie przeboleł, podziękował Panu Bogu, że się tak stało, że pycha Marysi, jak sobie rzecz nazywał, nie dała mu spełnić szaleństwa, ale nie był szał dostatecznie z tej niepełności rozumu wyleczonym, bo zaczynało go często coś w okolicy serca ścisnąć, napadały go nieznane dotąd tęsknoty i żale, stawał się bez żadnej przyczyny dziwnie markotnym i nieraz mówił sobie ostro.—Głupi jesteście—lecz niemniej potrzebna mu mądrość nie chciała wracać. Gospodarował zawzięcie, wierzchowca swego zajeżdżał, ludzi burczał, ekonoma nieraz skrzyczał, aż jednego pięknego popołudnia znalazł się w Borkach, gdzie bardzo, bardzo dawno już nie był. I inni sąsiedzi czynili podobnie, obok tego, że ganiono surowo szalony postępek Marysi, że żalowano ogromnie p. Kazimierza, który pozwolił się tak przemądrzałej córce na pasku wodzić, już się zdawało, że tak on, jak ona dziwaczka zostali z rejestru stosunków sąsiedzkich wykreśleni. Przytem czas letniej pracy gospodarczej zwykle towarzyskie stosunki rozluźnia: to też gdy elegancki, z parą karych koni w wytwornej uprzęży faeton pana Władysława przed starym dworem stanął, Marysia, usłyszawszy turkot, z pewnem ciekawem zadziwieniem przez okno wyjrzała.

Zobaczywszy kto przyjechał, zmieszała się czegoś mimowolnie; lecz, że p. Kazimierza w domu nie było, sama go przyjąć musiała, zagajając rozmowę banalną uwagą, że w tym roku pogoda bardzo szczęśliwie pracom gospodarskim służy. Ale on nie mógł się zdobyć na taką wymianę słów obojętnych.—Panno Maryo! — zawołał naraz — panno Maryo! ja bez pani żyć nie mogę.

Ona przedewszystkiem przelekła się, ale gdy on do ręki jej sięgnął, gdy ta rękę w gorącej swej dłoni uwiecznił, oprzytomiała. — Nasze drogi już

*) Warszawa, nakład Michała Glücksberga, 1884 r.

się rozeszły — odparła. — Usunęłam się z tego świata, do którego pan należysz i...

Nie dał jej skończyć. Gorące, namiętnej miłości pełne wyrazy z ust mu płynęły, a ona, słuchając, smutniała. — Nie — odparła wreszcie — już ja teraz nie jestem zdolna odpowiedzieć sercem, sercu pana, już nie...

On odgadł przyczynę. — Pogardzasz mną pani! — zawołał — pogardzasz, jak ja sam gardzę sobą, ale nie możesz, nie możesz mnie odepchnąć, bo bym przepadł. Wszystko, co jest we mnie lepszego, skupia się w tem uczuciu, wzbudzonem przez panią... To uczucie podniosło mnie ponad wyrachowanie nędzne, przez to uczucie zrozumiałem, w czem się mieści szczęście, w czem jest siła do życia. Nie odpychaj mnie pani, nie odpychaj, bo mi potrzeba ciebie, abym szedł dobrą drogą...

(Dalszy ciąg nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

CI.

Zazdrośni, komedia w 1 akcie Wł. hr. Koziembrodzkiego. **Do Rozvodu**, komedia w 1 akcie Stanisława Żyżkowskiego. **Nawrócenie**, komedia w 1 akcie Karola Courcy z francuzkiego. **Narkotyk**, komedia w 1 akcie Henryka Meilhaca, przekład M. Bogowolskiej — przedstawione w Teatrze Rozmaitości. — Jan Tatariewicz.

Autor dobrej, wdzięcznej i na teatru amatorskie szczególnie nadającej się *Zawieruchy* w dwadzieścia lat po niej napisał komedię, którą mógł być swobodnie napisać na dwadzieścia lat przed nią. Jego *Zazdrośni* noszą na sobie wszystkie znamiona pracy młodzieńczej, marnującej poważne założenie dla niepoważnej uciechy. Przewijanie się uczucia zazdrości w różnych charakterach i stosunkach pisarzowi już doświadczonemu, znajdującemu się już u schyłku drogi, nastęrczało własną siłą swoją tak dogodną sposobnością do satyry, że zupełnie jej zmarnowanie wytłómaczyć sobie tylko można — upadkiem talentu. Zamiast satyrycznego ryłka wziął p. Koziembrodzki do ręki mały lichy cyganek i powykrawał nim karykaturalne postaci zazdrosnego męża i takowegoż kochanka, pp. Henryka Tapińskiego i Ryszarda Kornycza, dodał do nich jeszcze dzwaczniejszego Zbigniewa Niewieckiego i okraślił tę mieszaninę Malwiną, niby żoną, niby cieniem, który zaledwie miga się w sztuce. Położenia jednostajne, bez dowcipu, jaki dać może tylko psychologia rozwijana z dusz ludzkich przez satyrę; ani krzty tej mądrości, jaką dać może tylko patrzenie w człowieka żywego; trochę tylko błysków w dyalogu — taką nas obdarzył sztuką p. Koziembrodzki. „Komedię“ bynajmniej ona nie jest — jest tylko facecya, którą możnaby opowiedzieć przy czarnej kawie, ale której niepodobna bez niesmaku wysłuchać i wypatrzeć przez dobre trzy kwadransy. Sąd ten, zapewne surowy, należy się autorowi, który pisał już rzeczy lepsze.

W sztuce zlej p. Wolski dobrze grał męża ciemięgę, ucharakteryzował się właściwie i ślamazarnością wcielił w całą swą postać. Po nim należy się uznanie p. Krogulskiemu za niewielką rolę, zazdrosnego lokaja, najlepszą w *Zazdrośnych*. W ogóle ciężkie było zadanie wszystkich trzech artystów, którzy nie czuli pod sobą ani gruntu, jaki daje prawda, ani powietrza, w jakie unosi farsa.

Z próbą talentu dramatycznego wystąpił p. Żyżkowski i nie można powiedzieć, żeby mu

się próba zupełnie nie udała. Małżeństwo bez powodu idące do rozvodu — dwoje głuptasiów rozbijających się o źdźbło trawy — nie jest tematem nowym, świeżym, ale może zająć samym sposobem przeprowadzenia procesu wywołanego właśnie przez nadmiar maluczkiej, drobnostkowej, takiej gęgającej i szczebioczącej miłości, w której kobieta będzie zawsze stroną silniejszą. Dla uplastycznienia walk prowadzonych papierowemi mieczami wypadło koniecznie przedstawić ową małość dwójduży małżeńskiej, maluczką zespalającego ją w jednię uczucia. P. Żyżkowski zbłądził, ukazując nam odrazu małżonków idących do rozvodu: ją zaciętą, rezolutną przez gniew, jego obojętnego przez dumę i przekonanie o męskiej wyższości. Samo wybieranie się na nowe drogi, zamknięte w dyalogach, pokazuje, że p. Żyżkowski będzie mógł kiedyś pisać dla sceny, jeżeli się na lekki chleb improwizacyi stolikowych nie puści, lecz w świecie żyć i w życie patrzeć będzie. W rozwiązaniu wcale nie potrzebnem jest nagle wyskakujące dziecko, jako anioł stróż nierozzerwalności węzła małżeńskiego: większą miałaby wartość sztuka rozwiązana bez motywu głęboko uczuciowego, a obcego jej początkowi i założeniu. Zręcznym za to jest zakończenie, w którym sługa wysłana z telegramem i listem rozwodowym gubi pieniądze i przez to ocala sytuacją w obec rodziców pani. Rzecz prosta, że Henryk i Helena nieraz jeszcze pójdą do rozvodu i nieraz się jeszcze pogodzą w takisam sposób jak obecnie.

P. Trapszówna wkłada się już do ról naiwnych mężatek. Jej Helena w sztuce p. Żyżkowskiego byłaby wcale nie złą, gdyby nie zbyt wysoka temperatura psychiczna, zbytni pathos w wysłowieniu, — nadmiar deklamacyjności. Naturalności, naturalności jaknajwięcej! — bo nie słowem człowiek prawdziwy żyje, a człowiek sztuczny, aktor, żyć powinien, ale naturą swoją, charakterem, temperamentem, które tam naturalnie wyrastają, tu artystycznie odtwarzane być powinny.

Sztuka francuzka *Nawrócenie* jest najpoważniejszą ze wszystkich czterech nowości, któremi wypełniono cały jeden wieczór Teatru Rozmaitości. Założenie proste, odwieczne: przyjaciel męża Jerzego, niewidzialnego w komedii, tak silnie praw jego broni, że się staje aż przyjacielem żony i wyznaje jej, już nie przyjaźń dla jej męża ale miłość dla niej samej. Żona, rzecz we Francyi rzadka, odpędza od siebie czar, jakim wszelkie słodkie słówka owiewają duszę kobiecą, bez jej wiedzy i winy, i daje przyjacielowi naukę, która, przy nieco już podeszłym jego wieku, straconą nie będzie. Raz wysmiany nawet przez służbę, nie wystawi się już chyba nigdy więcej na śmieszność. Skutek wyznania był wręcz przeciwny zamierzonemu: żona wyjeżdża do nieobecnego męża a przyjaciel wystrychnięty na dudka, bez dyalogu, w oryginalnej doskonale pomyslanej, a przez p. Ładnowskiego u nas doskonale także i wykonanej, grze mimicznej maluje nieciekawym swój stan duchowy. Sens moralny sztuki: *primo*, że godność przyjaciela można łatwo utracić wobec jego pięknej żony, jeżeli się z nią jest sam na sam; *secundo*, że obecność męża w domu lepiej sprzyja szczęściu małżeńskiemu, niż dalekie mężowskie podróże. Szkoda, że sztukę wcale nie złą zakaża rozwekłość wstępów i zapędów do chwili stanowczej, w której szczerłość charakteru męskiego nie wytrzymuje próby pokus.

Sztuka z dwiema tylko osobami: Reginę de Champoulin i Raulem de Briche znalazła wybornych wykonawców w p. Lüde i p. Ładnowskim.

Zkąd się wziął, na co i po co, na scenie naszej *Narkotyk* p. Meilhaca, głośnego fabrykanta francuzkiego? daremnie-byśmy dociekali. Sztuka podobala się pani Bogowolskiej, więc ją przetłómaczyła; podobala się reżyssery — więc ją wystawiła: rozumowanie i zarazem domysł najprostsz. Jest to wielka, pospolita, oklepana nędza. Francuzi przyzwyczaili nas już dawno do tego, że demokratyzm swój objawiają w sztuce ciągłymi de

książe, hrabia, baron, margrabia a postępowość — wyposażeniem bohaterów i bohaterki w miliony i krocie. Meilhac, dla większego jeszcze uzaczenia tej wiary demokratyczno-postępowej dał pani Reginie de Ruvemonde aż *trzydzieści milionów*. Przedtem jeszcze uśmiecił jej męża, plantatora na Jawie i podniósł przez to jej wartość dla Paryża rzucił ją w wir nowożytnego Babilonu. Rzecz prosta: wszyscy lecą na lep. W sztuce widzimy trzech: bankiera, barona i malarza. Indyanka Czeryta oręduje za ostatnim, młodym i pięknym, Maurycem de Preuil, podczas gdy tamci dwaj — Middelburg i Mousquet, są starzy i urwipolcie. Przywiązana a przedsiębiorcza sługa odsadza ich strachem otrucia. Zastawia im na próbę jaknajrzetelniejszą herbatę; oni tymczasem myślą, że to trucizna — i oczywiście, przegrywają sprawę; wracają wprawdzie później, ale już po niewczasie. Plac zostaje przy De Preuil'u ale cóż kiedy duma nie pozwała mu miłości swej wyznać. Niech ona pierwsza rzuci się mu na szyję. Teraz znowu Regina wzięta na próbę, wypala najzwyczajniejszego papierosa w przekonaniu, że to haszysz i przez imaginacyą jedzie na koronacyą. De Preuil słyszy jej wyznanie i wtedy już dumę swą rzuca do kosza. Narkotyk kończy się małżeństwem.

Opowiedziałem umyślnie tę treść, aby pokazać jakich lichych sztuczek, sztuki niegodnych, dobrych w dramaturgii *Clownów* cyrkowych, używają głośne imiona francuzkie w pogoni za głośniejszemi jeszcze i dzwięczniejszemi frankami. Publiczność wszystko przyjmuje, co tylko ma w sobie lekkość. Publiczność z końca wieku tak u nas, jak we Francyi, jak w Europie całej, z wyjątkiem Anglii, lęka się tylko powagi, brwi zmarszczonej, marsa w obliczu, rozumu i mądrości życia, błyskającej spod osłon sztuki: na facecya, farsę, jako tako składną, zawsze ją złapiesz — wiedz o tem, autorze dramatu, czy powieści. I ten *Narkotyk* przywędrował aż nad Wisłę, aby nam pozwolił na oglądanie interessującej czerwonej twarzy i brązowych rąk pani Leszczyńskiej (Czeryty) i wcale przystojnych rysów p. Nowickiego (De Preuil). Ani panna Noiret, mimo wielkiego wysilenia, z jakim grała małą, jakościowo i ilościowo nikłą rolę Reginy, ani pp. Ostrowski i Frenkiel w banalnych zupełnie rolach bankiera i barona — nikogo tym nieszczęsnym *Narkotykiem* znarkotykować nie zdołali.

Teatr warszawski poniósł stratę. Dnia 2-go Grudnia r. b. zmarł po bardzo krótkiej chorobie kierownik główny sceny dramatycznej Jan Tatariewicz. Zmarły był i dobrym reżysserem zwłaszcza do inscenizacyi sztuk, i wytrawnym a zdolnym artystą. Miał swój rodzaj ról, w którym nie potrzeba było lepszego aktora. Były to role przeżytych cyników komedii francuzkiej. Potoczność słowa, zachowywanie właściwych w niem spadków i nagięć, utrafianie zawsze w ton myśli i stanu psychicznego, dostrajanie do nich ruchów i gry mimicznej godzenie żywotności indywidualnej z powściągliwością chroniącą od szarzy — pozostaną, zdaniem mojem, trwałemi zaletami artyzmu należącego już dziś do przeszłości. Mniejsze ma zasługi nieboszczyk jako kierownik i nie zawsze nawet na działalności jego piętno swoje wyciskała tu zasługa. Do zasobni sztuk wchodziły nieraz lichoty lub nowości nie nowe. *Suum cuique* — tem potrzebniej i sprawiedliwiej, że przy właściwej wogóle umysłom naszym, — czy to w publiczności czy w krytyce — niezdolności do różniczkowania wrażeń i pojęć przebrałszy miarę w odczuwaniu straty.

Stanisław Krzeminski.

„SZKICE”

M. CZERNEDY.

Życie ludzi należących do niższych warstw społecznych stanowi najzwyczajniejszy, najbardziej już, że się tak wyrażę, oklepany i nicowany na wszystkie strony temat dla naszej nowellistki. Obecnie panujący w literaturze europejskiej t. z. duch czasu wywołuje właśnie na scenę powieściopisarstwa owych upośledzonych i każe autorowi skalpelować przed czytelnikiem ich życie i ducha: zadanie bezwzględnie bardzo wdzięczne i pożyteczne. Idzie tylko o to, jak autor wogóle rozumie życie i ducha człowieka; od tego bowiem zależy i sposób skalpelowania i nader ważne w każdym utworze literatury nadobnej oświetlenie, w którym autor ukazuje przed nami swego bohatera; czyli, krótko mówiąc, na tem polega całe znaczenie dzieła sztuki. Nie mówię tu o tych, którzy, pisząc nowelle, nie mają właściwie głębszego pojęcia o życiu wewnętrznym i nawet zewnętrznym człowieka, i którym się zdaje, że dość mieć pewny zasób zmysłu spostrzegawczego, aby, złowiwszy jakiś objaw życiowy na gorącym uczynku, przenieść go wnet, hołdując wrzekomemu realizmowi, bez żadnej zmiany na papier. Mówię o tych, którzy, prócz zmysłu spostrzegawczego, mają jeszcze zdolności kombinacyjne i umieją wszelkie fakta życiowe, zdradzające naturę ducha ludzkiego, krystalizować w sobie samych. Jedni z nich, jak np. niektórzy pisarze francuzcy, krystalizują człowieka wyłącznie tylko w swym mózgu, tworząc temsamem artystyczne potwory w powieściach lub nowellach, drudzy zaś do współdziałania zwykli powoływać i serce, i to tylko przenoszą na papier, co i przez głowę i przez piersi przepłynęło. Tacy właśnie pisarze umieją zawsze nowe wlać życie w temata chociażby najbardziej już wyzyskane i przykuć do swoich bohaterów uwagę i serce czytelnika. Do tej ostatniej grupy autorów należy niewątpliwie niedawno zmarły, młody nowellista Mieczysław Bierzyński (Czerneda), którego skromna spuścizna literacka w formie szkiców niedawno opuściła prasę.

Zbiorek ten zawiera w sobie kilkanaście nowellek i obrazków, do których treści dostarczyła autorowi pilna obserwacja niższych warstw społecznych, przeważnie ludu wiejskiego, wśród którego Czerneda spędził znaczną część swego życia. Duch czasu wszechwładnie zapanował nad młodym, początkującym autorem: oto widzimy w *Szkicach* przesuwający się przed naszymi oczyma cały szereg jednostek, nieumiejących oczyrniać sobie jasno sprawy ze swego położenia. Ludzie ci, idąc wciąż dalej przez życie i pracując w ciszy, nie obwiniając nikogo i nie pojmując nawet, aby mogło być inaczej, aż póki śmierć nie położy końca ich nędzy życiowej. Taką postacią jest przedewszystkiem Józef Bartnicki w nowelce p. t. *Kancelista*, pracujący od świtu do nocy, a często i nocy całe, aby wyżywić żonę i dzieci. Kancelista pracował, póki mu sił starczyło, jednakże w końcu siły te pomimo wszelkich rozumowań i całego wyczerpania woli, poczęły go opuszczać; anemia była widoczną; Bartnicki walczył jak mógł, aby się nie poddać chorobie skutkiem wycieńczenia organizmu, walczył i — spokojnie zasnął na wieki przy pracy.

Postacią o nadzwyczajnych przymiotach ducha, chociaż należącą niewątpliwie do wyjątków, niemniej przeto prawdziwą, głęboko przez autora odczuta i dobrze skreśloną, jest Słotwiński, bohater nowelli p. t. *Nieplakany*. Słotwiński pracował od lat najmłodszych przy fabryce, zajmując miejsce ojca, który zginął podczas pracy, zgruchotany przez koło fabryczne. Atoli nadszedł czas, gdy młody robotnik razem z synem właściciela fabry-

ki i kilku innymi towarzyszami rzucił swoje zajęcie spokojne, aby potem na lat kilkanaście opuścić strony rodzinne, dokąd powrócił schorzałym i złamanym. Nie zastał już nikogo z tych, z którymi spędził młodzieńcze swe lata i których ukochał; nawet groby, kryjące szczątki jego rodziny i przyjaciół, zapadły i zarosły zielkiem; pozostała jedna tylko fabryka, acz już znacznie zmieniona i nie do jego pana dawnego, lecz do jakichś Niemców — przybyszów należąca. Słotwiński chciał pod wpływem pierwszego wrażenia iść dalej w świat; jednakże żal mu się zrobiło miejsce rodzinnych i tej fabryki starej. Został więc i wkrótce znalazł w niej robotę, dającą mu skromny zarobek, a po pewnym czasie oswoił się z nowym otoczeniem, przywykł do swego zajęcia i gorąco ukochał, nie ludzi wprawdzie, którzy dość obojętnie względem niego się zachowywali, ale te stare mury fabryczne, pamiętające jeszcze jego dzieciństwo i śmierć ojca starego. Wypadek atoli zrzadził, że pewnej nocy cała fabryka stanęła w płomieniach; Słotwiński w rozpaczy, nie oszczędzając siebie bynajmniej, ratował ją zapamiętale, jak swoją własność, a ugodzony spadającą belką, przez dłuższy czas zmuszony był leżeć w łóżku, przyplacając zdrowiem swoje poświęcenie. Gdy wyzdrowiał, dowiedział się, że właściciel-Niemiec wyjechał za granicę, a fabryka nieprędko będzie odbudowana. Znaczną część jego kolegów pozostała, jak i on sam, bez żadnego zarobku i środków do życia; nikt się nim nie zajął, nikt nie zaopiekował, prócz poczciwej wyrobniicy, u której mieszkał, ale i ona była ubogą i obciążoną dziećmi. Słotwiński pewnego dnia zniknął bez wieści: widział go tylko stróż fabryczny, jak wszedł na pogorzeliśko, obszedł je kilka razy, kilka razy stawał i patrzył na sterzące mury okopcone, a w końcu, wzięwszy kamyczek z dawnych ścian gmachu i schowawszy go do kieszeni, poszedł prosto przed siebie. Treść sama bliźszych komentarzy nie wymaga; jeśli zważymy przytem, że i samo wykonanie jest bez zarzutu, przyznamy, że *Nieplakany* jest jedną z najpiękniejszych nowellek zmarłego autora.

Bardzo udatnie, aczkolwiek zapobieżnie może, skreślonym jest typ t. z. *świadka*, człowieka, który, przeszedłszy rozmaite koleje w swym życiu, na starość, niezdolny do żadnego ruchliwszego zajęcia, zasiadł na ławce pod piecem w kancelaryi rejenta, aby za bardzo skromne wynagrodzenie podpisywać swoje nazwisko, jako świadek, na różnych dokumentach. Typ taki jest bezwzględnie doskonałym materiałem do nowelli; Czerneda wprawdzie nie wyzyskał go wszechstronnie, ale i w tych kilku rysach, w swym utworze rzuconych, naskicował go nam dość wyraziście. Jest to jeden z tych upośledzonych, charakterystycznych ludzi, którzy czują swoje niedołęztwo umysłowe i fizyczne, a mimo to godzą się najzupełniej ze swem położeniem; czasem tylko usta zcichą jakąś skargą wyszepcą, pierś jęknie, ale to rzadko bardzo, jakby mimowoli, aby nikt z tych, co nieraz dla zabawki szydzą sobie z tych pokornych biedaków, tej skargi i jęku nie usłyszał i nie sprofanował ich nowem szyderstwem. Świadek Bobecki wie dobrze, że mógł być w życiu czem innym, to też, ucąc czytania malca swojej gospodyni — mówi: „Widzisz, Józiu, trzeba, żebyś się uczył; im więcej będziesz umiał, tem ci lepiej będzie na świecie“; a potem dodaje bardziej do siebie: „Żebym ja się był uczył, nie byłbym na starość świadkiem“. Jest to jeden z licznych epizodów dramatu smutnego, wciąż rozegrywającego się cicho w piersiach ludzkich, a niewidzialnego dla tłumów, zdolnych tylko do zewnętrznej obserwacji człowieka.

Takisam zupełnie nastrój ma nowelka p. t. *Złodziej*, której bohaterem jest Antoni Glinecki, właściciel fabryki kaflki. Był to zdolny, przedsiębiorczy, uczciwy i rozmiłowany w swoim zawodzie rzemieślnik, który dnie całe spędzał w warsztacie, myśląc i pracując nieustannie nad wynalezieniem jaknajpiękniejszych form dla swoich wyrobów. Niestety chciało, aby u pewnego kamienicznika zobaczył sprowadzony z zagranicy model kaflki, taki właśnie, o jakim od dawna już marzył, ale jakiego sam żadną miarą zrobić nie mógł. Od tego czasu nie miał ani chwili

spokoju: model ów stał mu wciąż przed oczyma i zasnąć spokojnie nie dawał. Gdy wszelkie zabiegi i prośby Glineckiego o pożyczanie modelu na nie się nie przydały, postanowił go ukrąść, aby, odlawszy z niego formę, zwrócić potem właścicielowi. Schwytyany na gorącym uczynku i okrzyknięty złodziejem, bohater nasz skazany został przez sąd na karę więzienia. Fakt ten wpłynął stanowczo na dalsze życie biedaka. Słowo „złodziej“ brzmiało mu wciąż w uszach i dotąd pracowity i uczciwy rzemieślnik rozpił się, marnując wszystkie swoje zdolności. Był to jeden z tych osobników, co zdolni są odczuwać własne upokorzenie, nie umiejąc jednocześnie rozumować, i zwykli zawsze bardziej siebie samych, niż innych obwiniać. To też Glinecki nie usprawiedliwiał siebie i nie obwiniał tych, co go zaskarżyli przed sądem i co nań wyrok potępiający wydali; wciąż tylko jedno powtarzał słowa: „Glinecki złodziej, złodziej“, — słowa brzmiące wistocie straszliwą, choć bezwiedną skargą, na stosunki społeczne, poczem szedł do szynku. Smutne to bardzo, ale jakże często wśród ludzi spotykane objawy!

Osobny cykl opowiadań, na tle życia wiejskiego osnutych, stanowią cztery szkice pod ogólnym tytułem *Pod strzechą*, do których należy także zaliczyć i trzy luźne obrazki: *Za psa*, *W zamkniętej chacie* i *Wartalek*. Bohaterami tych opowiadań są chłopcy wyłącznie i to w okolicy Kielce mieszkający, gdzie się urodził i przez dłuższy czas mieszkał sam autor, a temsamem miał sposobność przypatrzeć się ich życiu domowemu i wystudyować ich naturę. I tu Czerneda, jak i w poprzednich szkicach, bierze i maluje życie ludzkie ze strony ciemnej, smutnej, bolesnej nieraz. Oto np. w opowiadaniu p. t. *W zamkniętej chacie* widzimy małe pięcioletnie dziecko, które, zamknięte na cały dzień w chacie przez niebałą matkę, wylewa na siebie niebacznie garnek wrzątku i w kilka dni potem umiera z poparzenia; w innym znów szkicu (*Za psa*) mamy również pięcioletniego malca, obitego bez litości przez ojca za to, że nie zdołał upilnować w polu gęsi, które olbrzymi kundys wiejski rozproszył; dalej widzimy chłopów, wyzyskiwanych niesumienne przez doradców pokątnych (*Wartalek* i *Za sprawą*), biedną wdowę, podejrzaną o czary, a ztąd będącą w skrytej pogardzie u wszystkich mieszkańców wioski (Augustowa) lub wręcz nader charakterystyczną postacią chłopca, co upiwszy się po pogrzebie swej żony, zapomniał na wieki o jej śmierci.

Rozpatrując te obrazki wiejskie, dochodzimy do wniosku, że właściwie brak oświaty staje się główną przyczyną z jednej strony najrozmaitszego wyzysku, na który chłop bywa często narażony, z drugiej — niemoralności, nierządkiem zbrodni nawet, bądź bezwiednie, bądź z zupełną samowiedzą popełnianych przez samego chłopca. Wniosek oczywiście nienowity i od czasu, gdy baczniej poczęto śledzić życie i naturę wieśniaka, przekonano się, że najpospolitszą, jedyną niemal przyczyną wszystkich ciemnych, ponurych stron życia chłopów jest właśnie brak oświaty. Czerneda atoli umiał w swych szkicach wynaleźć oryginalne temata, wlać w nie wiele artyzmu i obrócić je tak, aby zgodnie z rzeczywistością mogły odzwierciedlać pewne ułomności nieukształconej natury wieśniaczej. Widzimy tu rysy, wryte niewprawną jeszcze częstokroć ręką, ale niemniej przeto charakterystyczne, zgodne z rzeczywistością. Autor, wierny duchowi swego czasu, do rzędu idealistów, patrzących na chłopca przez pięknie zabarwione szkielek nie należał: z całą też ścisłością chwycił z życia i kreślił to, co widział, a mimo to, wrażenie, jakiego po przeczytaniu tych drobiażgów doznajemy, świadczy, że nie był on spokojnym widzem, obserwującym życie na gruncie przedmiotowym tylko, i że jeśli miał się pióra, to dla tego jeno, że głęboko odczuwał fizyczną bądź moralną nędzę ludzką. Jasnych, pogodniejszych stron życia wieśniaków nie znajdujemy w tych szkicach. Kto wie, czy właśnie malowanie takich tylko posępnych obrazków nie leżało w naturze talentu Czernedy... Domysł ten, jak się zdaje, potwierdzony być może poniekąd przez jedyny w całym zbiorze obrazek, różniący

się i treścią i duchem od wszystkich innych, p. t. *Zemsta rywala*, w którym treść zbyt blaha, humor naciągany i brak zresztą wszelkiej plastyki osób na niekorzyść autora przemawiają.

Na *Szkice* Czernedy należy się zapatrywać jako na utwory autora początkującego jeszcze, ale obdarzonego niewątpliwym talentem, który rozwinięty i ukształtowany w przyszłości, zająłby najprawdopodobniej w szeregu naszych nowelistycznych i może powieściopisarskich talentów nowszych czasów, miejsce wybitne.

J. Nitowski.

Z bieżącej chwili.

— Petersburskie Towarzystwo hodowli drzew i krzewów owocowych, podniosło kwestyą urzędzenia w Petersburgu wystawy owocowej w jesieni w roku przyszłym.

— Zawiązanie w Petersburgu komisji, zajmującej się specjalnie sprawami związanymi z kwestyą nieurodzaju, zostało zadecydowane. Zakres działania komisji ma być bardzo szeroki.

— W Radzie Miejskiej Dobroczynności Publicznej wakują obecnie dwa legaty z zapisu ś. p. Kuryerowa: 50 rs. dla służącego, który przebył lat piętnaście uczciwej służby u jednych pracodawców, i ś. p. Zacharkiewicza: 150 rs. za lat dwadzieścia, 75 rs. za lat piętnaście i 45 za lat dziesięć uczciwej służby w jednym miejscu dla kucharek i służących do wszystkiego. Podanie z odpowiednimi dowodami składać należy w biurze Rady Miejskiej po dzień 31 Grudnia.

— W kościele Wszystkich Świętych na Grzybowie odsłonięto ołtarz wzniesiony z zapisu ś. p. księdza Władysława Zyblera, niegdyś wikaryusza przy tym kościele. Obraz mieszczący się w ołtarzu przedstawia św. Jadwigę, błogosławiącą syna swego, Henryka Pobożnego.

— Wyprowadzeniu zwłok ś. p. Tatarkiewicza, artysty dramatycznego, towarzyszył orszak kilku tysięcy. Nad grobem przemawiał p. Józef Kotarbiński, wykazując zasługi zmarłego dla sceny naszej.

— Zarząd warszawskiego Salonu Artystycznego zamierza urządzić w Kijowie, w czasie przedświątecznym, wystawę obrazów olejnych, akwarel rysunków i przedmiotów sztuki, stosowanej do przemysłu.

— P. Wojciech Gerson, zamieścił w „Kuryerze Warszawskim“ uwagę, że podana tam wiadomość o znajdującym się w Warszawie portrecie Szopena, malowanym w Paryżu przez Ant. Kolberga między 1823 a 1824 rokiem, jest błędną i że wspomniany portret mógł być jedynie malowany w Paryżu, poczynając od 1848 r., gdyż w latach 1823 do 1824, tak Szopen jak Kolberg byli młodziutkiemi chłopcami, uczyszczającymi do

szkół warszawskich. Byłoby rzeczą pożądaną, dodaje szanowny twórca „Opłakanego Apostolstwa“, aby portret mógł być umieszczonym na wystawie Tow. Sztuk Pięknych dla sprawdzenia jego autentyczności. Wszystko, co się łączy z Szopenem ma dla ogółu interes niepośledni.

— Wychodzące w Medyolanie czasopismo muzyczne, zamieściło krajobraz domku w Żelazowej Woli, gdzie się rodził Szopen, oraz portret jego.

— Wystawę szkiców, otwartą w Salonie Artystycznym na Nowym Świecie, zwiedziło w dwóch pierwszych dniach otwarcia 680 osób.

— Warszawskie Towarzystwo Sztuk Pięknych urządziło w początkach Stycznia w Łodzi wystawę obrazów, złożoną ze 150 okazów wyższej wartości artystycznej, tak naszych, jak i zagranicznych malarzy. Wystawę pomieści sala koncertowa Vogla. Obrazy oglądać będzie można przy oświetleniu elektrycznym.

— „Gazeta Warszawska“ kończy obecnie 118 lat istnienia. Jest to najstarsze czasopismo nasze, zawsze z uczciwym i sympatycznym kierunkiem.

— Koncert studencki odbędzie się dnia 20-go b. m., bilety nabywać już można w cukierni Toura.

— Ukazała się na półkach księgarskich *Encyklopedia Powszechna kieszonkowa*, wraz ze słownikiem wyrazów obcych używanych w języku naszym. Mieści ona 52 tablic z rysunkami, a tworzy tom małego, ale grubego formatu, zawierający 2.044 stronnic. Uważać ją można za podręczny słownik biograficznych, statystycznych, geograficznych, historycznych wiadomości, podanych w skróceniu. Pierwsza to u nas taka podręczna encyklopedia dla powszedniego użytku.

— W Wojciechowicach, w pow. opatowskim, otwarta została szkoła wiejska z zapisu testamentowego właściciela Wojciechowic ś. p. Józefa Wykowskiego. Na utrzymanie szkoły przeznaczony został procent od sumy 10.000 rs. zahypotekowany na dobrach zmarłego: Wojciechowicach i Koszycach. Wykonawcami testamentu są obok miejscowego proboszcza i wójta gminy, pp. Wykowski i Piotrowski Michał, rządcą dóbr Stodół. Zapis uczyniony został już temu lat jedenaście.

— Muzeum Pszczolnicze na Koszykach (Nr. 41), otwarte w dniu 3 b. m. ściągęło znaczną liczbę uczniów i uczennic, przybywających nawet ze stron dalszych, i odbywają się tam za ich współudziałem odpowiednie w tej porze roku prace w ogrodzie i przy budowie uli. Zarząd Muzeum zawiadamia, iż uczniowie przechodzą obecnie naukę o uprawie ziemi pod ogrody, naukę o jej składzie i gatunkach, o sposobach ulepszenia jej w stosunku rozmaitym do hodowli drzew, lub warzyw i kwiatów. Prowadzi się tam również i naukę jedwabnictwa, naukę o szkółkach drzew, z kolei ma przyjść nauka o zakładaniu inspektów, szczepieniu drzew, pielęgnowaniu kwiatów, oraz z zakresu pszczolnictwa, zaznajamiania się z różnego systematu ulami. Zarząd Muzeum otrzymał z Bruxelli odezwę, aby nadesłał tam na wystawę okazy swoje, co też nastąpi. Muzeum wysła tam wkrótce rozmaite gatunki miodu, wosku, oraz rozmaite okazy przemysłu

pszczolniczego. Przy tej okazji dodać należy, iż obecne Muzeum nie ma już od dawna żadnych stosunków z p. K. Lewickim, który niegdyś stał na jego czele.

— Wystawa szkiców w Salonie artystycznym mieści dużo rzeczy ładnych i mile wzrok pociągających. Obok licznych prac pędzla kobiecego, między którymi krajobraz Zofii Stankiewiczówny znacznych już rozmiarów, celuje, jest tam cała serya akwarelowych krajobrazów z natury Juliana Maszyńskiego, krajobrazów K. Alchimowicza, dwa bardzo ładne krajobrazy Wastkowskiego i kolekcya typów warszawskich Kostrzewskiego. Znamcy uważają, że kolekcya należy do najlepszych prac artysty w tym zakresie i przed „Salaciarem“, „Piaskarzem“, „Posłańcem“ zawsze ktoś stoi i patrząc uśmiecha się jak do dobrych znajomych. Olejny szkic prof. Gersona, „Droga w Tatrach“, jest jedną z prac wybitniejszych.

— We Lwowie ma powstać wydział medycyny kosztem wydziału krajowego, który postanowił wybudować zarazem obok szpitala powszechnego dwa pawilony na klinikę wewnętrzną i chirurgiczną, oraz rozszerzyć szpital tak, aby mogła tam być pomieszczoną klinika chorób kobiecych, klinika chorób ocznych i klinika chorób skórnych. Koszta urządzenia wynosić mają około 350.000 zł. reń. Skarb państwa przyrzekł subwencji 150.000 zł. reń., sejm uchwalił na ten cel 200.000 z funduszy krajowych.

— Warszawskie Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych rozpisze w Styczniu przyszłego roku konkurs na malarstwo, na który nadsyłać można: obrazy olejne, akwarele, miniatury, pastele i rysunki, wykonane w przeciągu ostatnich lat trzech, z wyjątkiem przedstawianych już na jakiegokolwiek z wystaw warszawskich. Dla dzieł wyższej wartości komitet wyznaczył trzy nagrody pieniężne: 600, 300 i 200 rs.

— Rzeźbiarz Marczewski, którego model posągu Moniuszki, wykonany na konkurs, otrzymał uznanie komitetu sędziów konkursowych, zadeklarował w ugodzie piśmiennej, iż posąg, w marmurze wykonany, wykończy w Marcu 1893 r. W Maju 1892 ma artysta ten wystawić tymczasowo w przedśionku teatralnym model posągu gipsowy. Za pracę wykonania posągu otrzyma on 3.350 rs.

— Pięćdziesięcioletni jubileusz znakomitego powieściopisarza węgierskiego, Jokaya, obchodzone będzie w Peszcie bardzo uroczystie, staraniem Towarzystwa Literackiego pod imieniem Petöfiiego, którego Jokay jest prezesem. Pierwsza powieść jego „Żydowskie chłopię“ wyszła w Peszcie w 1852 roku, a autor jej miał wtedy lat piętnaście. Jokay zajęty jest obecnie spisywaniem historycznych wspomnień swego życia.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: *Omyłka*, przez R. Norrisa. Przekład z angielskiego.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

TREŚĆ: Wolfgang Amadeusz Mozart, przez M. I. — Selim i Molrach, (wiersz), przez Mortana. — Kobieta w XX w. Studium Juliusza Simona Człon. Akad. fran. i Gustawa Simona Doktora Med., IV. Żona, przez Alf. Szczepańskiego. — Droga przez las. Powieść, przez Autorkę „Na starym gruncie“ (dalszy ciąg). — Przegląd Teatralny, przez Stanisława Krzemińskiego. — Szkice, M. Czernedy, przez J. Nitowskiego. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści, pod tytułem: *Omyłka*, przez R. Norrisa. Przełożona z angielskiego. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów i robót z opisem. — *Sekreta gospodarskie*. — *Dyspozycya stołu*.

Przepisy gospodarskie.

Jelenie rożki.

Rozetrzeć ćwierć funta cukru, 4 łyty masła nietopionego i jaj całych 3 i 3 żółtka, dodać cokolwiek skórki cytrynowej, lub trochę cynamonu, wgnieść w to mąki tyle, aby ciasto dało się gładko wałkować i nie było zbyt twarde. Brać kawałek ciasta wielkości orzecha włoskiego rozwałkować w rękę na 3 calowy waleczek, koniec noża dotykać do mąki i nadkrawać wałek 3 lub 4 razy naprzemiany z jednej i drugiej strony, przez co uformuje się gałązka czyli jeleni rożek. Smażyć na smalcu, ostrożnie, bo się łatwo kruszą, wyjmując z rondla kłaść na bibułę dla osączenia tłuszczu. Posypać cukrem z cynamonem i podać na leguminę.

L. C.

Doświadczenia praktyczne.

Nic nie psuje marmuru tylko jeden sok cytrynowy, który wyzera glazurę z marmuru, nigdy zatem cytryny nie należy na marmurze krajać.



Nr 1. Kapelusz z aksamitu.

Pieczeń wołową do duszenia posmarować przed nasoleniem czosnkiem, nabierze ostrego smaku.

Kapelusz z aksamitu.

Rycina Nr 1.

Kapelusz w rodzaju kapotki. Skrajać część ukośną z aksamitu koloru ponsowego 64 c. długą a szeroką w środku 25 c., po bokach zaś 20 cent. Zmarszczyć w równych odstępach 6 razy na podkładzie z druciku, podszyć ponsowym atłasem i utworzyć główkę według ryciny. Rondko na podkładzie z petynетки okryć aksamitem bufiasto i pokryć czarną koronką haftowaną czarnym dżetem. Pióro czarne fantazyjne i tegoż koloru aksamitka czarna do wiązania 3 c. szer. wykończy całość.

Kieszonka do robót (haft w stylu „rococo“).

Rycina Nr 2 i 3. (Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 36).

Skrajać część sukna koloru piaskowego 38 c. wysok. a 21 c. szer, nadać formę odpowiednią i wykonać haft przedniej części podług firoju fig. 36. Boczne zaś gałązki nieco mniejsze podług tego samego wzoru. Haft wykonać wstążeczką „rococo“ 1/4 c. szer., kwiatki i listki ścięciem pojedynczym, kielichy zaś ścięciem supełkowym żółtym kordonkiem. Gałązki jedwabiem oliwkowym ścięciem gałązkowym. Zapażyć podszewką z materiału jedwabnego, brzegi połączyć i podług ryc. zapiąć na guziczek i dziurkę.

Pantofelek damski z filcu.

Rycina Nr 4.

Pantofelek wykonany z filcu koloru piaskowego i poziomkowego, ten ostatni użyty jako podszewka. Haft wykonany sznelą „bordeau“ i filozelą niebieską i terrakota w kilku cieniach. Gruba podszewka z filcu białego pokryta filcem koloru poziomkowego. Brzeg pantofelka wycinany w zęby.

Pelerynka dla młodej panienki (robota szydełkowa).

Rycina Nr 5.

Materiał potrzebny 100 gramm wełny.

Pelerynka wykonana włóczką hiszpańską koloru białego, otoczona riuszą z białej płaskiej peli. Związanie z wstążki białej atlasowej. Rozpocząć od górnego brzegu, na założeniu 75 o. tam i napowrót jak następuje: — 1 kolej: 3 o. opuścić, 3 słup. w następne o., potem ciągle naprzemian: 1 ści. o. w następ. o., 5 sł. w następ. o. — 2 kolej: 3 pow. o., 3 sł. w następ. ścis. ocz., potem ciągle naprzemian: 1 ści. o. w środk. następ. 5 sł., 5 sł. w następ. ści. o., na koniec 1 ści. o. w pow. o. znajdujące się przed 1-m sł. poprzed. kolei. — 3 kolej do 26 w rodzaju poprzed. kolei, ale od kolei 5 ciągle zamiast 5 sł. wykonywać 6 sł. Ostatnią kolej otoczyć z wyjątkiem dolnego brzegu 1 koleją ścis. o., ciągle 1 ści. o. w każde ocz., w górnym zaś brzegu ciągle 1 ści. o. w 2 z rzędu o. a potem w dolnym brzegu 1 kolej, w której ciągle naprzemian: 3 słup. w 3 środkowe oczko następnego zagłębienia, 2 ści. o. w środk. 2 następ. 6 słup., w końcu 1 ści. łańc. o. w 1 ści. o. brzegu poprzeczn. Następnie wykonać tło riuszy. — 1 kolej: 4 pow. o., ciągle naprzemian: 1 sł. w 2 z rzędu ocz., 1 pow. o., ale w rogach wykonać 3 słup. w 1 o., potem 1 ści. łańc. ocz. w 3 z czterech pow. ocz. tejsze kolei. — 2 kolej: 4 pow. o., ciągle naprzemian: 1 sł. w nast. sł., 1 pow. o., na koniec 1 ści. łańc. o. w 3 z 4 pow. o. tejsze kolei. — 3 kolej: 3 pow. o. które zastępują 1 sł., 1 pikot, czyli 3 pow. o. i 1 ści. o. w poprzeczną żyłkę poprzed. sł., 2 razy naprzemian: 1 słup., słupki tej kolei należy nieco wydłużyć w nast.

step. pow. ocz., 1 pik., potem ciągle naprzemian: 3 sł. przedzielone 1 pik. w 2 z rzędu pow. o., 1 pik., na koniec 1 ści. łańc. o. w 3 z pierwszych 3 pow. o. tejsze kolei. — W 4 kolei wykonać riuszą *, 3 słup. przedziel. 1 pow. o. (dolne żyłki tejsze kolei nieco wydłużyć) w następ. wolne jeszcze ścis. o. otaczające pelerynę, 1 pow. ocz., 2 sł. przedziel. 1 pow. o. w poprzeczną żyłkę następ. sł. pierw. kolei, 1 pow. o. w pow. ocz. znajdujące się przed poprzednio wymienionym sł., 1 pow. o., 2 sł. przedziel. 1 pow. ocz. w poprzeczną żyłkę następ. sł. 2-jej kolei, 1 pow. o., 3 sł. przedziel. 1 pow. o. w następ. wolne jeszcze pow. o. 2-jej kolei, 1 pow. o., 2 sł. przedziel. 1 pow. o. w poprzeczną żyłkę następ. sł., 1

pow. ocz., 1 słup. w pow. o. przed wymienionym znajdujące się sł. 1-jej kolei, 1 pow. o., 2 sł. przedz. 1 pow. o. w poprzeczną żyłkę następ. sł. 1-jej kolei, 1 pow. o. od * powtórzyć, następnie 1 ścis. łań. o. w 1 sł. tejże kolei. — 5 kolej: białą pelą ciągle na przemian: 1 ści. o. w następ. słup., 2 pow. o., następnie 1 ścis. łań. o. w 1 ścis. o. tejże kolei.

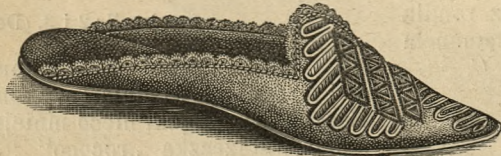
Kanapa otwierana pokryta dywanikiem haftowanym.

Rycina Nr 6—10.

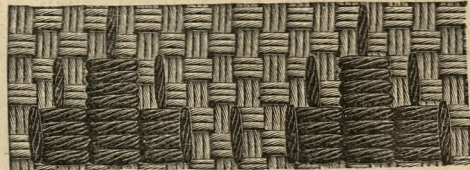
Kanapa wykonana robotą stolarską w kształcie skrzyni do otwierania. Siedzenie wypchane włosami. Dywanik wykonany na pięciu pasach z tkaniny sznurkowej z brzegiem tkanym złotem i spajanych z sobą.



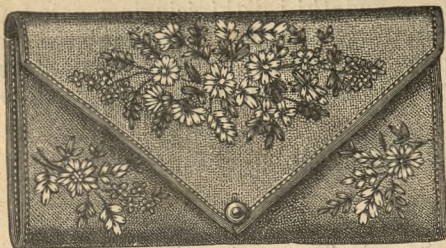
Nr 2. Deseń na torebkę do roboty Nr 3.



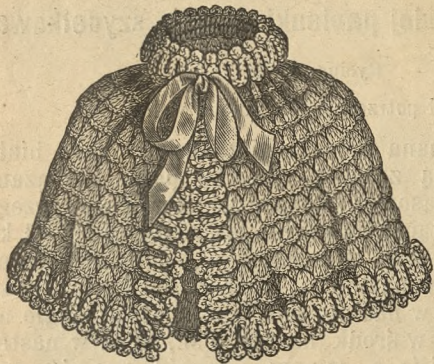
Nr 4. Pantofelek damski z filcu.



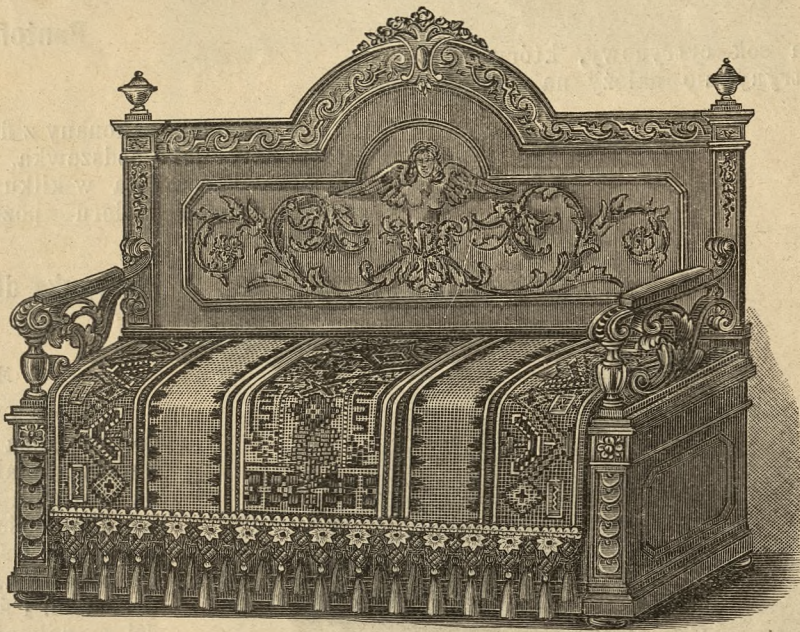
Nr 7. Figura haftowana do ryc. Nr 6 (wielkość oryginalna).



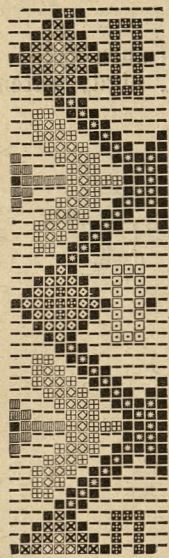
Nr 3. Torebka do robót (haft w stylu „rokoko“ do ryc. Nr 2). Deseń pierw. str. tabl. Nr VI, fig. 36.



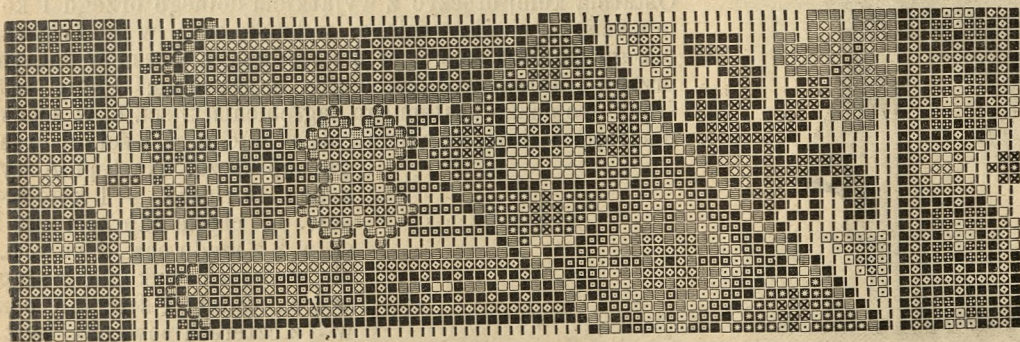
Nr 5. Pelerynka dla młodej pani (robota szydełkowa).



Nr 6. Kanapa pokryta dywanem haftowanym (do ryc. Nr. 7—10).



Nr 8. Deseń do ryc. Nr 6.



Nr 10. Deseń do ryc. Nr 6. ■ Ciemno-brązowy, × brązowy, □ ciemno-żółty „okr.“ □ jasno-żółty „okr.“ □ granatowy, □ jasno niebieski. ■ 1-szy ciemny, □ 2-gi i □ 3-ci najjaśniejszy terrakota, ' tło.

Rękawiczki zimowe damskie.

Rycina Nr 17 i 18.

Rękawiczki wykonane w połowie ze skóry w połowie z materiału wełnianego, zaopatrzone podszewką z moltonu, lub też rękawiczki z jednym palcem, zaopatrzone podszewką z futra.

Rękawiczki zimowe męskie.

Rycina Nr 19—21.

Rękawiczki bądź-to ze skórki glansowanej, bądź ze skórki duńskiej, zaopatrzone podszewką z moltonu z futerka, ozdobione brzegiem pluszowym lub też futrzanym.

Gałązka do ozdoby saszetek, poduszczyków, na toaletę i t. p.

Rycina Nr 24.

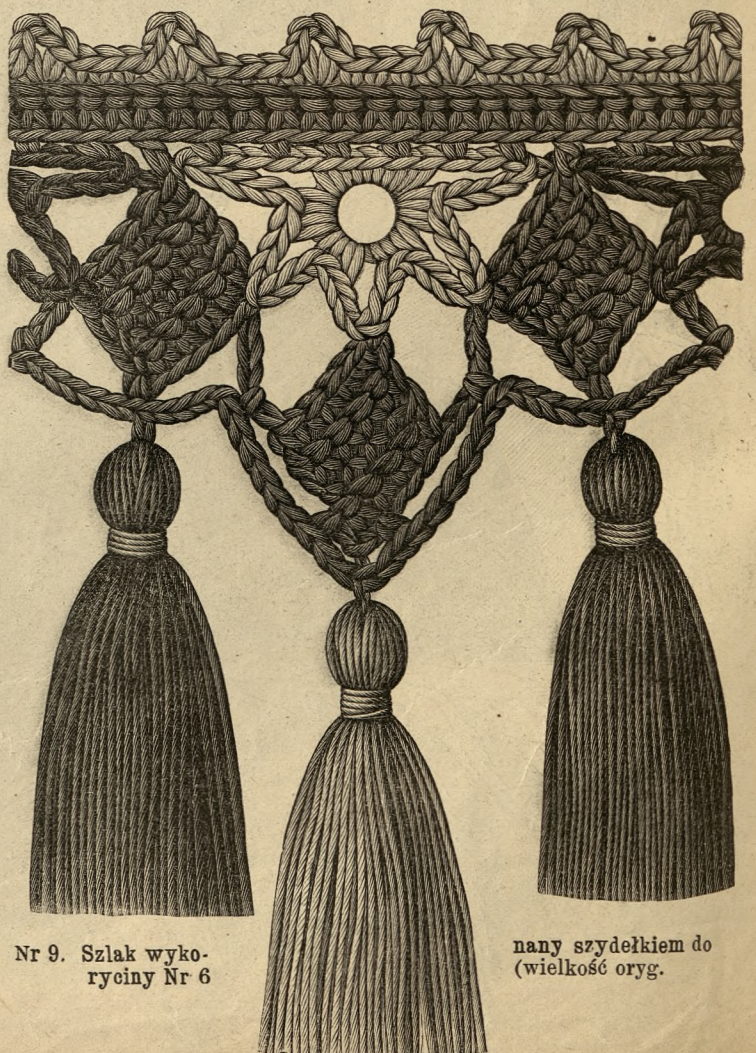
Haft wykonany na jedwabnym białym muślinie jedwabną krepowaną wstążeczką, sznelą jasno-niebieską, oraz rozpolowioną filozelą koloru oliwkowego, brązowego i popielato-zielonego w kilku cieniach. Płatki dużych kwiatów, oraz pączki, wykonać kre-

pową wstążeczką koloru białego. Kielichy także wstążeczką koloru brązowego, odpowiednio do deseni przetykać nitką ciemniejszego jedwabiu, a małe kwiatki z jasno-niebieskiej szneli zdobić supełkami z brązowego jedwabiu. Listki należy cieniować rozmaitemu koloru jedwabiami i wykonać ścięciem płaskim, rybiej łuszczyki i gałązkowym.

Suknia balowa z bengaliny.

Rycina Nr 31 i 26.

Spódnica z kanaanu, otoczona w dole falbanką, ubrana z lewej strony na 30 c. bengaliną koloru łososiowego, część ta zakończona w dole złotą pasmanteryą. Reszta spódnicy składa się z jednego i 2 bocznych brytów na 50 c. szerokich w dole, nieco ukośnie ściętych ku górze. Z prawej strony połączyć przednią z boczną częścią w ten sposób, ażeby utworzyć fałdę zakończoną w dole pasmanteryą ozdobą ze złotego sznurka i woskowych pereł. Z lewej strony części są rozdzielone i spięte na 30 cent. od góry klamrą z pasmanteryą i grełotek. Tylna część spódnicy składa się z trzech prostych brytów, które ułożone w fałdy zapinają się na stani-



Nr 9. Szlak wykończony ryciny Nr 6

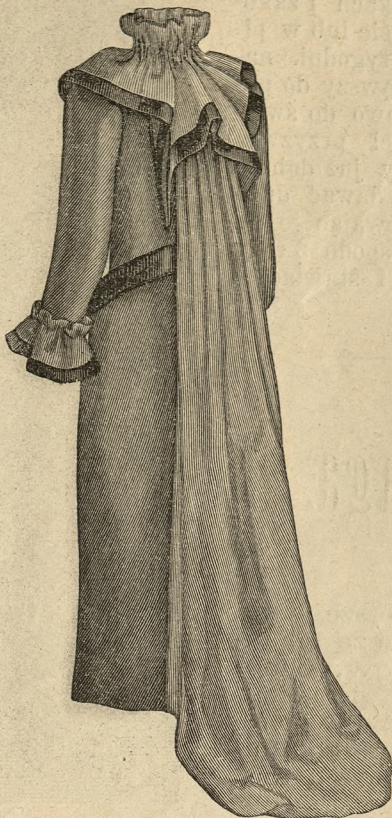
nany szydełkiem do (wielkość oryg.)

ku. Stanik fałdowany, ubrany złotą pasmanterią, wykroj szi otoczony pliskami z różowej jedwabnej gazy. Takież rękawy bufiaste ubrane pasmanterią i frendzlą z grełotek.

Napiersnik z gazy jedwabnej.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 51.

Napiersnik wykonany na foremce z tiulu różowego dług. 33 c., w górze szer. 13 c. zwężonej ku dolnej części. Następnie pokryć dwoma częściami gazy jedwabnej koloru różowego, ułożonemi w fałdy skrzyżowane ku dołowi. Jedna z tych części ozdobiona haftem. Kołnierzyk stojący ułożony w fałdy.

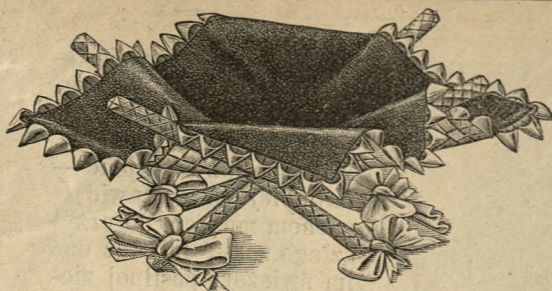


Nr 22. Tylna część szlafroczka Nr 2 w Bl. Nr 51.

Kołnierzyk z jedwabnej gazy.

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 51.

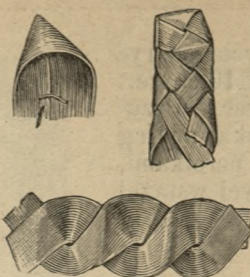
Kołnierzyk dla starszej osoby, wykonany z gazy koloru lila, na co należy skrajac część 34 c. szer. a 68 c. długo. Ułożyć w fałdy podług ryc., dolną część obszyć falbanką plisowaną z tejże gazy 14 c. szer. Część górna ob-



Nr 11. Koszyczek do robót wykonany z skrawek.



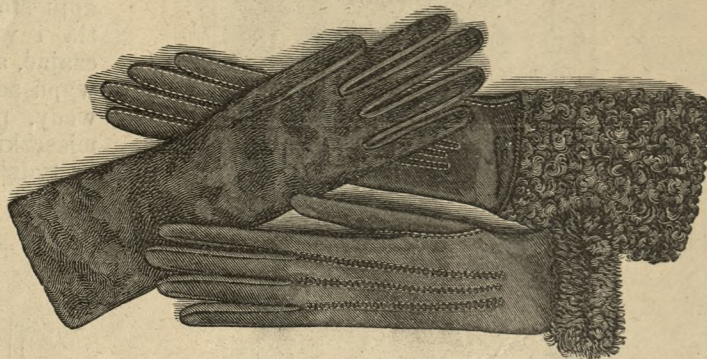
Nr 12. Koszyczek do robót wykonany z skrawek.



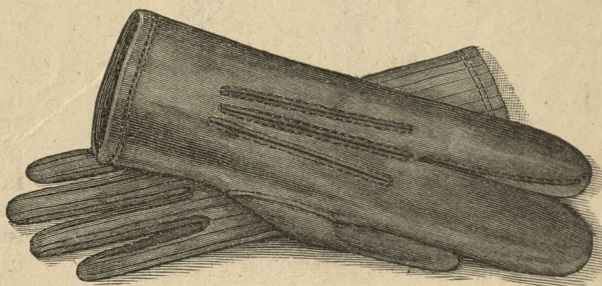
Nr 13 — 15. Drobne szczegóły do Nr 11, 12 i 16 (zmniejszone).



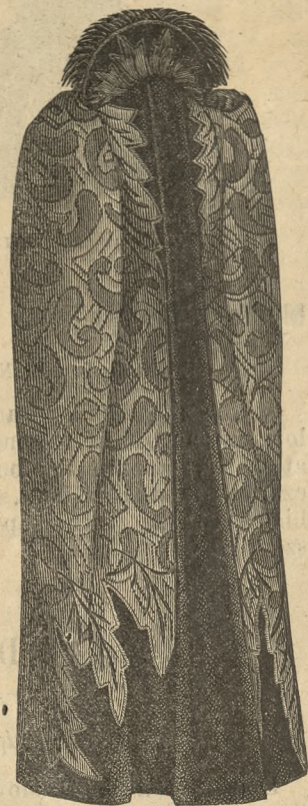
Nr 16. Koszyczek do zawieszania na ścianę.



Nr 17 i 18. Rękawiczki zimowe damskie.



Nr 19—21. Rękawiczki zimowe męskie.



Nr 23. Tylna część płaszcza Nr 28.

szyta riuszą układaną w kontrafałdy 4 c. szer. z gazy podwójnie złożonej.

Mufka z „surah“ ozdobiona koronką i perełkami.

Rycina Nr 8 w Bl. Nr 51.

Skrajac część „surah“ koloru czarnego 16 cent. szer. a 36 c. dług., w górnej części ściętą na 10 cent. Zaopatrzyć podkładem z waty i zeszyć w kółko. Boczne części obszyć bufką marszczoną 4 cent. szer. z materiału podwójnie złożonego, przewlec

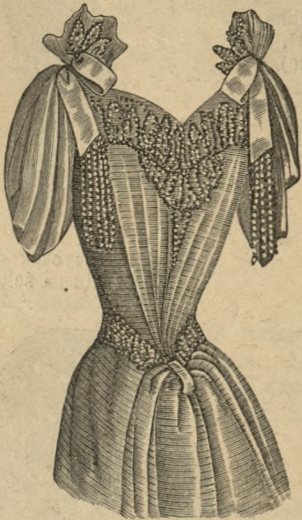


Nr 25. Tylna część sukni Nr 30.



Nr 24. Gałązka haftowana do ozdoby: saszetek, poduszczyków do szpilek i t. p.

tasiemką gumową i przeszycie pokryć ukośnym paskiem „surah“ 16 c. szer. i utwożyć nagłówek 2 c. szer. Przybrać mufkę czarną koronką podług ryc. 10 c. szer., haftowaną perełkami, kokardą z czarnej repsowej wstążki i dżetową klamrą.

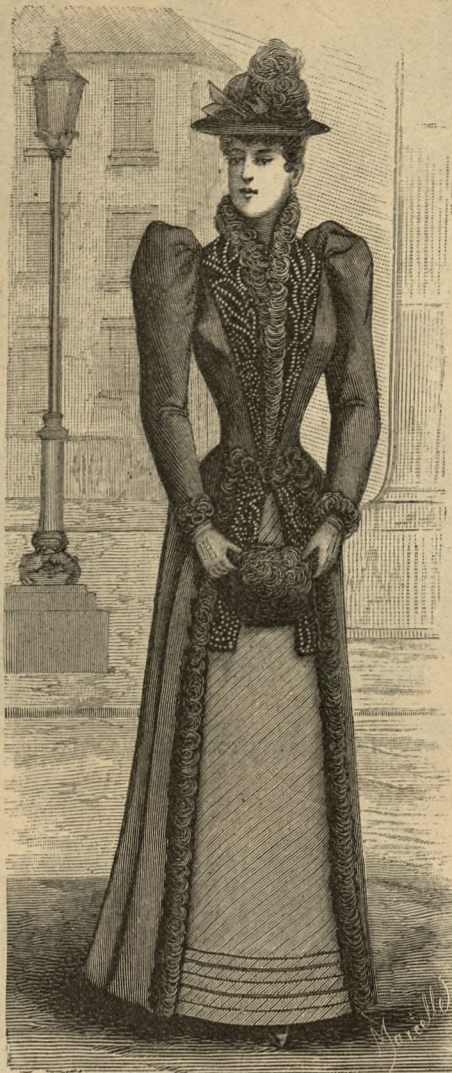


Nr 26. Tylna część sukni Nr 31.

Mufka z futerka kozy angorskiej.

Rycina Nr 9 w Bl. Nr 51.

Mufka z futerka kozy angorskiej koloru czarnego, zaopatrzona podszewką atlasową, otoczona po bokach grubą czarną koronką 13 cent. szer. i ozdobiona wstążką czarną repsową 6 cent. szer.

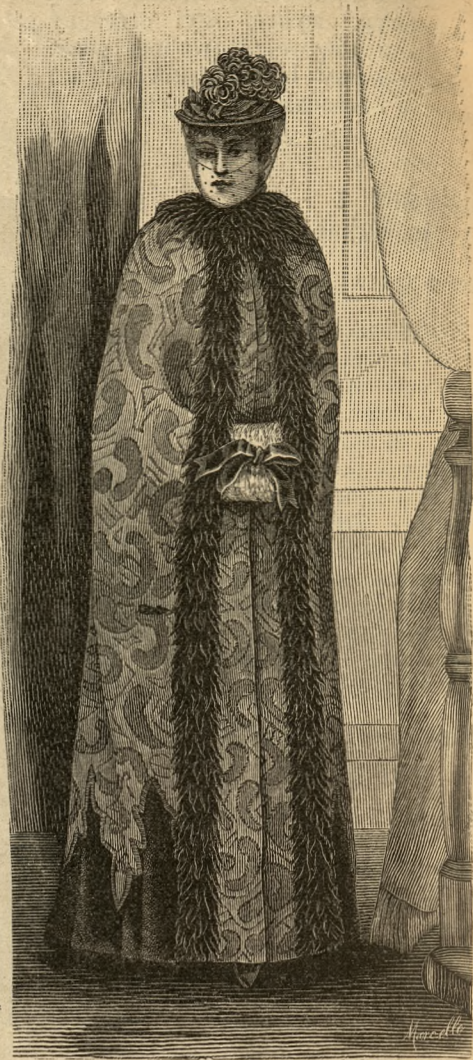


Nr 27. Płaszczka z sukna ozdobiony aplikacją i obłożony piórami. (Opis odwr. str. tabl.)

ściowo od połowy miesiąca w doniczki przesadzać, ażeby dłużej w zimie się niemi cieszyć. Zapóźno już to zrobić — najlepiej je zostawić w suchem miejscu do przyszłego roku, lub też dać im świeżej, posilnej ziemi w doniczkach i zakopać w gruncie lub w piwnicy na 6 tygodni, następnie, wzięwszy do pokoju stopniowo do światła i wilgoci przyzwyczajając, a gdy już dobrze wypuszczą, dawać dużo wody, podlewając je na miseczki od spodu 2 razy na tydzień, i stawiać w słońcu.

Uwaga.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, odnosząca się do wzorów w tym i w przyszłym numerze Bluszczu podać się mających.



Nr 28. Płaszcz z materiału „lama“ i z aksamitu (do ryc. Nr 23). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 49—52.

KORESPONDENCYA.

Odp. pani Hon. W.

Dziękuję za dobre słowo; cebulki hyjacentowe należało w ziemie zakopywać w ogrodzie w kłomby przez cały Październik, a następnie czę-



Nr 29. Szlafrok z adamaszku i krepy. (Opis odwr. str. tabl.)



Nr 30. Suknia wieczorowa z materiału jedwabnego w pasy ozdobiona wstążkami (do ryc. Nr 25). Opis odwr. str. tabl.

Nr 31. Suknia balowa z bengaliny (do ryc. Nr 26).